

B. I. 24A

MAZ. BK

SZTAB  
ŁĄCZN.  
ŻAND.

85 paginowanych stron

Nazwa zespołu: *Relacje z kampanii wrześniowej 1939 r.*Nazwateczki: *MAZ. BK. SZTAB ŁĄCZ. ŻAND*sygn.archiw.: *BI 24/A*

L.p.	data	treść	ilc str
1		Jan Karcz. plk. dypl. dca Bryg. Mazowiecka Brygada Kawalerii Rozkaz szczególny na noc 21-22 <u>XI</u> 1939 r.	1
2		Ludwik Żerański, ppor. rez. dca plut. radio, Szwadron Łączności Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Notatki wojenne 24 sierpień - 4 listopad 1939 r.	74
3		Henryk Śremiawa - Saganowski plut pchor. rez. w plut. tel. szwadron Łączności Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Inwentaryusz	2
4	29. <u>XI</u> 1945	Władysław Włodzimierz Sobczyk kpt. żand. dca plut. żand. Mazowiecka brygada kawalerii. Relacja	1
5		ppor Edward Budzianowski Samodzielny Szwadron Kawalerii Praca zimowa	4

MAZOWIECKA BRYGADA KAWALERII

S T A B

L. 8-Op.

M.p. dnia 22.IX. 1939 r.  
godz. 0100.ROZKAZ SZCZEGÓLNY.  
na noc 21-22.IX. 1939 roku.

Brygada podczas nocy pozostaje na obecnie zajmowanych stanowiskach z zadaniem osłony Armii Gen.DAB-BIERNACKIEGO w kierunku płc.

Rozkaz odejścia będzie wydany w odpowiednim czasie, w każdym razie zależy mi na bezwzględny utrzymaniu rejonu lasów Swidniki, położonych na pld. od Stanisławka i Swiderce.

Licze się z możliwością bombardowania rejonu Brygady od świtu dnia 22 b.m..

W związku z tym zarządzam:

- 1) 11 Pułk Ułanów, 1 Pułk Kawalerii K.O.P., 13 Pułk Ułanów - zadanie bez zmian z tym, że kładzie specjalny nacisk na rozpoznanie bezpośredniego swego przedpoła od 10-12 km., oraz ukrycia koni od świtu przed obserwacją lotniczą.
- 2) 7 Pułk Ułanów, 2 Szwadron Pionierów i Szwadron Łączności jako mój odwód, przed świtem opuszczają obecnie zajmowane rejonu i przejdą do lasu na pld.m. ZUKOW-wschodnia strona drogi polnej ZUKOW-kol.HORYSZÓW POLSKI-  
7 Pułk Ułanów odchodząc z m.ROGOWA pozostawi swe ubezpieczenia w m.SZCZELATYN i m.GRABOWIEC.
- 3) 1 D.A.K.przed świtem przejdzie do tego rejonu na zachód od drogi ZUKOW-HORYSZÓW POLSKI-  
1 bat.1 D.A.K.gotowa do marszu o godzinie 0600 we Dw.SWIDNIKI-rokaz marszu otrzymają telefonicznie.Przypuszczalny kierunek marszu-SWIDNIKI-kol.SWIDNIKI-MIECZYN-ZAWADA+KOTLICE-las maj.KOTLICE,miedzy KOTLICE-PERESPA--
- 4) Kwatera Gł.o świcie przejdzie do lasu w rejonie folw.KOPANIE.
- 5) M.p. D-twa Brygady-flw.KOPANIE od godz.0700 dn.22.IX.  
11 Pułk Ułanów, 1 Pułk Kawalerii, K.O.P., 13 Pułk Ułanów-bez zmian.7 Pułk Ułanów-folw.KOPANIE.  
1 D.A.K.-zamelduje swe m.p.do D-twa Brygady na godz.0700.  
Podkreślam konieczność utrzymania łączności oddziałów z D-twem Brygady przez oficerskie patrole łącznikowe-(meldowanie się w ~~XXXX XX XXX~~)

ROZDZIELNIK:

Dowódca Grupy Operacyjnej-przedstawiam  
Dowódcy Oddziałów Brygady.

DOWODCA BRYGADY

(-) K A R C Z [Jan]  
płk. dypl.

Za zgodność: SZEF SZTABU BRYGADY

(-) JEDIGAR mjr.

[Bek Veli]

Stwierdzam zgodność z oryginałem.  
ADIUTANT PUŁKU 11 P.A.C.

*Leon Niedzielski*  
/NIEDZIELSKI Leon/  
kpt.art.

SZWADRON ŁACZNOŚCI MAZOWIECKIEJ BRIGADY KAWALERII. 2

Dca Szw. Kpt. Rybiński Bronisław Adrjan, ostatnio widziany 15.X.39 w więzieniu rosyjskim w Nadwórnej, zaginiony w Rosji, prawdopodobnie w Katyniu.

Dca Pl. Kw. Gł. Por. Mazur Kazimierz, ranny 26.IX. pod Brzezunami, widziany w Murnau, Oflag VII A. w 1945.

Dca Pl. Tel. Ppor. rez. Gronkiewicz Henryk

Dca Pl. Radio Żerański Ludwik, ppor. rez. Obóz jeńców Murnau, emigr. USA.

Pl. Tel.

Pchr. rez. Zacharewicz Witold, przedwojenny aktor filmowy, rozstrzelany przez Niemców w Warszawie w r. 1942

Pchr. rez. Saganowski-Śreniawa Henryk

Pchr. rez. Ułas

Podoficerowie Szwadronu:

Babicki wchm. dca taborów

Koźłowski wchm. szef szw., ostatnio widziany w szpitalu we Lwowie umierający na skręt kiszek, X. 1939

Jaklicz wchm.

Świderski, zca dcy pl. radio, plut.

Baszucki kpr. pl. tel.

Kasprzak kpr. dca stacji radio

Kazanecki kpr. dca stacji radio

Muszewski kpr. dca stacji radio

Lachowski kpr. pl. tel.

Majewski kpr. pl. tel.

Parafiński kpr. pl. radio

Podbielski kpr. ranny 14.IX w m. Żebrak

Ułani szwadronu, m. inn.

Gmurek, uł. zabity pod Bożą Wola 24.IX.

Janus, st. uł.

Kostecki, uł.

Kucharz uł. szofer dca szw.

Ławnik uł.

Makowski uł.

Olszewski uł, ranny 26.IX pod Brzezunami

Pietraszek uł, ordynans

Szwanke uł, ranny 26.IX pod Brzezunami

Zieliński uł, ordynans

Żebrowski uł.

BI 24/A12

(K.H.T LXXXIX 28)

(2)

Ludwik Żerański  
ppor.rez. Pułku Radio

BI 24/A 2

3

NOTATKI WOJENNE

-----  
d-cy plutonu radio Mazowieckiej Brygady Kawalerii  
-----

24 sierpień - 4 listopad 1939r.

BI 24/A/2

## NOTATKA BIOGRAFICZNA AUTORA:

Ludwik ZERANSKI, syn Tadeusza i Marii z Czapińskich Zerańskich, urodzony we Lwowie 20 marca 1915 r., zamieszkiwał do 1926 r. w Krakowie, potem do wojny w Warszawie. Ukończył gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Warszawie w r. 1933. Szkoła Podchorążych Rezerwy Łączności w Zegrzu 1933 - 1934. Studja na wydziale elektrycznym Politechniki Warszawskiej 1934 - 1939. Przydział wojenny: dca plutonu radio Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Jeńiec wojenny w Oflagu VII A, Murnau, Bawaria, 1939 - 1945. Kontraktowy oficer Samodzielnej Brygady Spadochronowej na okupacji w Niemczech 1945 - 1947. Ożeniony w r. 1945 z Aliną Erickson, dziennikarką i literatką. Syn - Piotr. Przebywał na emigracji w Kanadzie 1948 - 1957. Obecnie mieszka w Pittsburghu, Stany Zjednoczone, gdzie pracuje jako inżynier elektryk w przemyśle amerykańskim. Obecny adres: 5465 Florida Ave, Bethel Park, Pa, 15102.

BI 24/A/2

PRZEDSŁOWIE.

Notatki poniższe są stuprocentowo autentyczne, ukazują się tu w identycznej formie jak powstały na gorąco w pamiętnych dniach września i października 1939 roku. Obszerne zapiski robione codziennie na kolanie, na legowisku ze słomy w stodole, w izbie wiejskiej czy opuszczonym dworze, rozrosły się w październiku 39 r., w czasie mego pobytu pod Lwowem, do objętości sporego bruljonu, który przetrwał szczęśliwie w ukryciu zagranicą przez 28 lat. Tak bruljon ten jak i oryginalne zapiski dopiero ostatnio wróciły bardzo okreśną drogą do mych rąk, do Stanów Zjednoczonych.

Gdy pisałem te notatki, miałem zaledwie 24 lata. Fakt ten wiadać w nich na każdym kroku, w częstej naiwności uwag, w prostocie telegraficznego stylu, w nieskomplikowanie odebranych i zanotowanych wrażeniach i opinjach. Przebija w nich jednak żywa bezpośredniość a przez ich bardzo osobisty charakter, wiele drobnych szczegółów, setki nazwisk i sytuacji, dają wierny i prawdziwy obraz tego okresu, choć oczywiście na wąskim jedynie odcinku.

Takie miałem przeżycia i tak odczuwałem te pamiętne dni. Tak ~~właśnie~~ ~~wgląd~~ ~~w~~ ~~ogólny~~ ~~okres~~ bezpośrednio po niej w oczach bardzo młodego podporucznika rezerwy, wojna oglądana z siodła, taczanki radiostacji polowej, chłopskiego wozu, czy wreszcie pryczy więzienia w Nadwórnej.

Listopad 1967.

Część I.  
W MUNDURZE

BI 24/A 2

24.VIII.39  
Czwartek

Rozpaczynam od momentu, gdy po przyjeździe do Warszawy nocnym pociągiem z wakacji w Wiśle, wysiadłem z taksówki przed naszym domem na al. Niepodległości.

Już w bramie zawiadomił mnie dozorca, że czeka na mnie od godziny karta mobilizacyjna z terminem "natychmiast". Można sobie wyobrazić nastrój przywitania z rodzicami. Mamusia płacze, je jestem podniecony. Co za przeskok od wczorajszego dancingu w Wiśle do takiej chwili.

Zmiejsca zabrałem się do spakowania niezbędnych drobiazgów. Napisałem parę kartek z zawiadomieniem /m.in. do Ryśki do Cieszyna/, wziąłem z albumu fotografię całej naszej rodziny, fotkę Baśki; przebrałem się w przygotowany już przez Mamusię mundur i pożegnałem się. Sióstr w tym czasie w domu nie było.

Wyszedłem z Tatusiem na ulicę; na Rakowieckiej wsiedliśmy w "trójkę".

Nastrój na mieście był już bardzo niespokojny, jakby podminowany. Masy ludzi, żadnych wolnych taksówek ani dorożek.

Wsiedliśmy na pl. Zbawiciela, była godz. 10.15. Kupiłem walizkę, w którą przepakowałem się w sklepie, oraz jasięk, bez którego nie umiem spać. Na ulicach przechodnie gapili się ciekawie na wojskowych jak zgorączkowany udawali się do swych formacji.

Niemożliwie przepełnionym tramwajem pojechaliśmy dalej, na ul. Marszałkowską. Z Tatusiem pożegnałem się w wagonie między Złotą a Świętokrzyską. Wysiadłem i poszedłem do mieszkania Baśki. Już dawno byłem z nią umówiony na dziś, na 11-tą, brakowało do tego terminu 20 minut. Niestety, nie zastałem jej w domu; nie mogąc czekać, zostawiłem dla niej kartkę z wiadomością i paroma słowami.

Na Marszałkowskiej złapałem jakoś taksówkę i pojechałem na Nowy Świat do Malaka, gdzie kupiłem sobie ostrogi. Stamtąd już prosto na ul. Podchorążych do 1 DAK-u.

Odałem książeczkę, dostałem skierowanie i "przydział wojenny" do Szwadronu Łączności Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Po pewnych



-2-

BI 24/A 12

7

poszukiwaniach /gorączka mobilizacyjna i ruch na terenie koszar ogromne/, znalazłem budynek szwadronu. Na ciemnym korytarzu spotkałem d-cę szwadronu kpt. Rybińskiego, któremu zameldowałem swoje przybycie. W kancelarii był też por. Mazur, opracowujący już imienny skład oddziału.

Praca regulowana była "dziennikiem czynności mobilizacyjnych", który przewidywał na każdą godzinę jakąś czynność. Miałem dowodzić plutonem radio. Rezerwiści zgłaszali się co chwila, robota z ich umundurowaniem szła pełną parą, choć natrafiało się na trudności najrozmaitszego rodzaju.

Przed budynkiem stały prywatne samochody ciężarowe już zmobilizowane dla naszych potrzeb. Po obiedzie zjedzonym w kasynie podoficerskim /chleb z wędliną i piwo/, oraz po ogoleniu i ostrzyżeniu się u koszarowego fryzjera dostałem rozkaz udania się jednym z wyżej wspomnianych samochodów do miejscowości, w której miał się organizować szwadron. Pojechali też ze mną ukani, którzy mieli pobrać konie od komisji.

Po drodze, na szosie Puławskiej, spotkałem część naszego szwadronu udającą się już do m. Nowa Wola. Było tam już parę patroli telefonicznych złożonych z ukani służby czynnej i jedna RKD. Przekazałem pchr. Zacharewiczowi rozkaz budowania linii telefonicznej z Imielina do Nowej Woli. Zacharewicz to ten znany wszystkim aktor filmowy odslugujący właśnie podchorążówkę w Zegrzu; śmiesznie mieć go w moim plutonie.

Zabrawszy jeszcze paru ludzi mających udać się do innej komisji poboru koni podwoziłem ich tak daleko, jak tylko droga /piaski/ pozwalała. Po wręczeniu im dokumentów wróciłem szosą Raszyńską do koszar. Zostałem dalszą pracę.

Ludzie odsyłani byli grupkami na samochodach do Nowej Woli. Sam pobrałem maskę, rewolwer, płaszcz, hełm, mapnik. O zmroku wyjechałem motocyklem do Nowej Woli, sprawdziłem stan organizowania się i jako oficer łącznikowy pojechałem tymże motorem do Sztabu naszej Mazowieckiej Brygady Kawalerii, który mieścił się wówczas w budynkach na torze wyścigów konnych w Służewcu.

Zameldowałem się szefowi sztabu, majorowi Freymanowi jako oficer łącznikowy. Major wywarł na mnie raczej ujemne wrażenie, był bardzo zdenerwowany, szorstki. Cały zresztą sztab układał się do snu, oficerowie chodzili już w piżamach. Dowiedziawszy się, że będę potrzebny dopiero o świcie, pojechałem na nocleg do Nowej Woli. Tam przygo-

towaną miałem już dawniej kwaterę. Pierwszą noc w tym wojskowym okresie przespałem na słomie w izbie jakiegoś gospodarza.

25.VIII  
Piątek

Rano do sztabu pojechał na moje miejsce pchr. Ułas, ja zostałem, aby do spółki z przybyłym już do Nowej Woli por. Mazurem organizować szwadron. Nie było jeszcze koni; ludzie, ostatnie już grupy, przyjechali rano. Odeszło się do Warszawy nadetatowych, w który to sposób pozbyliśmy się zupełnie ze szwadronu Żydów. Brakowało jeszcze jednego oficera na stanowisko dcy plutonu telefonicznego.

Napisałem parę listów, dłuższy do domu, krótki do Bałki, oraz do Gieszyna. Często zachodziłem do miejscowego sklepiku, gdzie jednak niewiele już można było dostać, ułani wykupili wszystkie zapasy. Pożywienie moje stanowiły przeważnie bułki i kwas chlebowy.

Cały dzień zeszedł na wolno postępującej organizacji, główną przeszkodą stanowił ciągle jeszcze brak koni. Okazuje się, że komisje poboru koni działały nie dość sprawnie, dostarczenie tam koni uległo opóźnieniu, nasi ludzie wysłani - jeszcze nie wrócili. Nie możemy jeszcze przydzielać ułanom koni. Brakuje też wozów dla taboru. Noc spędziłem na tej samej co wczoraj kwaterze.

26.VIII  
Sobota

Konie wreszcie przyszły, razem z wozami. Otrzymujemy rozkaz pogotowia marszowego. Konie nasze wyglądają zupełnie przyzwolicie. Około 9-ej rano na dużym placu zbiórka wszystkich koni. Organizacja szwadronu dobiega końca, istnieje już podział ludzi na plutony i patrole, każdy ma swego konia.

Mamy więc trzy plutony. W skład plutonu kwatery głównej wchodzi patrol telefonistów, dwa stacyjne, trzy łączności z lotnikiem /dwa konny i jeden motorowy/, gońcy i cykliści. Dalej 6 drużyn telefonicznych i 3 stacje radiowe. Brak zupełny środków motorowych, łazików nie mamy wcale, motocykli - o kilka za mało. Obiecują jednak ich dostarczyć. Zamiast przewidzianej N-ki samochodowej nam starą RKD. Też obiecują ją dostarczyć ale dopiero za trzy tygodnie, a może nawet i później. Mój więc pluton radio składa się z dwóch RKD i jednej taczankowej N 2, wszystko o pociągu konnym.

W południe przyjeżdża wreszcie brakujący oficer, ppor. rez. Henryk Gronkiewicz, znany już w szwadronie gdzie odbywał ćwiczenia rezerwy. Ostatnie podwody nadchodzą z Imielina, skąd nam je przydzielono.

O godz. 17.15 - wymarsz. Mijają nas pionierzy, którzy organizowali się w zachodniej części wsi. Mjr. Zdanowicz ma prowadzić oba

nasze szwadrony. Ponieważ por. Mazur załatwiał gdzieś jeszcze jakąś sprawę, miałem ja, chwilowo, prowadzić nasz szwadron.

Zameldowałem więc Mjr. Zdanowiczowi "szwadron łączności gotowy do marszu" i o godz. 17.20 wydałem z konia komendę: "Kierunek na mną, maaarsz." Szwadron rozciągnął się w kolumnę, ruszyliśmy.

Jechaliśmy z Gronkiewiczem na czele. Kurz był straszny, szczególnie przy kłusie. Musiałem dogonić pionierów, którzy oddalili się trochę. Wśród oficerów ich szwadronu spotkałem kolegę z gimn. Św. Stanisława Kostki, Franka Neumanna.

Dotarliśmy do szosy Puławskiej, dalej przez Pyry, Imielin, Służew. Skręciliśmy na prawo, przecieliliśmy szosę Wilanowską. Punkt przejścia wyznaczony był na Godz. 19.30 przy kościele w Czerniakowie-Ogrodzie. Już od Czerniakowskiej posuwamy się wśród kolumn wojska, bałagan duży, wzajemne prześcigania się, wymyślania, obawy o rozzerwienie kolumn. Tabor mamy bardzo duży, przeszkadza nam niesamowicie, ciągle zostając w tyle.

Jedziemy ul. Czerniakowską przez Powiśle, w stronę miasta. Zciemniło się już zupełnie. Nie mogę powiedzieć, żeby ludność żegnała nas z entuzjazmem, nikt żadnych kwiatów nie rzuca. Por. Mazur odnajduje się, jedziemy we trzech razem. Wiele myśli przebiega przez głowę, czy wogóle będzie wojna, kiedy zobaczę się znów z rodziną i t.p. Mój koń, Flis, ogromne wprost bydle, niesie doskonale.

Posuwamy się Solcem, wjeżdżamy ślimakiem na most Poniatowskiego, dalej al. Zieleniecką, ul. Targową, Żąbkowską. Kiedy zobaczę znowu moją Warszawę? Na Żąbkowskiej zsiadam na chwilę z konia, biorę rower od cyklisty i jadę kupić sobie coś na drogę. Zjadam bułkę z szynką i jakieś owoce.

Około godz. 22-oj zatrzymanie na przejeździe kolejowym na Radzymińskiej. "Dowolnie z konia, popuścić popręgi". Idziemy z Mazurem do budki ze szlodyczami na piwo. Słuchamy radia: mówią o wrażeniach z mobilizacji, jej przebiegu i porządku wszędzie. Jest w sklepiku sporo ludzi. Oczywiście rozmowy toczą się na tematy wojenne, Hitlera i t.d. Przychodzi mi na myśl zatelefonować do domu. Ruszamy dalej, znajduję jakąś kawiarnię, dzwonię. Niestety, w domu nikogo nie zastałem, dzwonię więc do Hali, rozmawiam z Charlem krótko, mówię jedynie że obecnie przechodzę przez Warszawę, ale dokąd - nie mogę oczywiście powiedzieć.

Wiemy, że kierujemy się na północ, ku Prusom Wschodnim. Cały czas jedziemy stępa, czasem prowadzimy konie w rękę. Mijamy Pustelnik, Żerań, dochodzimy do Strugi gdzie skręcamy w lewo. Nasze

samochody udały się już wcześniej do miejscowości Aleksandrów /na pldn.on Nieporętu/, gdzie kwatermistrzowie mieli przygotować dla nas kwatery. Dochodzimy do Aleksandrowa o godz.3.00, po chwilowym błądzeniu w jego okolicy. Odwaliliśmy przeszło 50 km. Wieś dosyć biedna, nic nie można dostać.

27.VIII  
Niedziela

Spaliśmy do Godz.11-ej rano. Po pobudce - ostateczne wykańczanie organizacji szwadronu, sprawy własnych plutonów. Zastępcą moim jest stary mój znajomy z kompanii konnej, plut. Świdorski, dowódcami stacji kaprale Kazancki, Muszewski i Kasprzak. Przy obiedzie, na twardym jak kość sucharze, łamię przedni górny ząb, ładna historia.

Popołudniu dowiadujemy się, że pod jednym z naszych ciężarowych samochodów zawalił się mostek. Rzeczywiście wyglądało to bardzo groźnie, cały tył w olbrzymiej dziurze, przyczepka z benzyną z jednej strony, przód z drugiej. Kpt. Rybiński, który już od Aleksandrowa był przy szwadronie, polecił mi się zająć tym samochodem. Czasu było bardzo niewiele, bo godzina wymarszu nadchodziła. Sprowadziłem kilkunastu ludzi i przy pomocy cywilów, po rozładowaniu samochodu, wypchnęło się go na drogę.

Natychmiast potem, o godz.19.30 wymarsz. Kapitan, po załatwieniu służbowych spraw pojechał prosto swoim szarym polskim Fiatem do następnego miejsca postoju, dokąd dotarł o 1-ej w nocy. Szwadron prowadzi por. Mazur, zresztą zawsze we trzech jedziemy na czele. Gadamy sobie, poznajemy siebie, trochę pogwizdujemy lub podśpiewujemy. Marszerujemy przez Nieporęt /znowu bałagan na punkcie przejścia/, Zegrze /wspomnienia z podchorążówki/, szosą na Serock, dalej przez Wierzbicę i Lubienicę. Skracamy na polną drogę w lewo.

28.VIII  
Poniedz. Dochodzimy o godz.4.30, po przejściu około 40 km., do majątku Niestępowo, właściciele pp. Kryńscy. Szwadron stanął na folwarku, dla nas bardzo wygodne dwa pokoje we dworze. Czyściutka pościel i sprężynowe łóżka, do których kładziemy się, strudzeni drogą, z ogromną rozkoszą.

Spaliśmy do g.11-ej. Wytworne śniadanie podane nam do łóżek. Napisałem znowu długi list do domu, podobno poczta polowa nasza działa. Obiad w towarzystwie właścicieli majątku również wytworny, z wódką. Rozmowa przy stole toczy się na temat ewentualnej wojny, szans jej wygrania i t.p. Nastrój wśród wojska i nas oficerów wyśmienity, niebywale bojowy.

W tym czasie sztab brygady stał w maj. Lubienica, pułki kawalerii wchodzące w skład Mazowieckiej Brygady, t.zn. 1-szy Pułk Szwoleżców oraz 7-my i 11-ty Pułki Ułanów, kwaterywały niedaleko, tak że Brygada stanowiła już jedną całość, kompletnie zorganizowana i gota-

wa do akcji bojowej.

Niestety, przyjemność kulturalnego kwatrowania trwała krótko, bo już o godz. 17.45 wymaszerowaliśmy dalej. Wróciliśmy znowu na szosę pułtuską, przeszliśmy przez Pułtusk, w którym ruch był szalony, masy wojska na drogach. W miasteczku skoczyłem do Baty i kupiłem sobie parę par skarpetek.

Kapitan prowadził szwadron w tempie bardzo ostrym, stale 10 minut stępa i 10 klusa. Dobrze poznałem już jazdę konną, nie odczuwam specjalnie jej jako przykrość choć dosiadał jeszcze całkiem nie wyrobiłem sobie i czasem kręcę się w siodle. No bo właściwie cóż ze mnie za kawalerzystą, nie rozumiem dlaczego przydzielili mnie do kawalerii.

Mijamy Czarnostków, posuwamy się stale szybko na północ. Wreszcie, po przeszło 30 km. drogi, robimy w Karniewie odpas, pojenie koni i krótki, godzinny odpoczynek. Samochody oczywiście są już u celu. Idziemy z kapitanem na miejscowy posterunek policji, gdzie wśród rozmowy z bardzo sympatycznymi policjantami, pogryzając czekoladę, paląc papierosy i badając mapę, odsapujemy odrobinę.

Tymczasem w szwadronie wynika kwestja z gospodarzem, który zamknął przed wojskiem swą studnię. Odbijamy ją siłą, chłop klnie. Zaczynamy stosować więc swe wojskowe prawa i przywileje.

29.VIII  
Wtorek

Północ zastaje nas w siodłach. Odwaliwszy 45 km. przybywamy o godz. 1-ej do majątku Leszno, zmęczeni solidnie ostrym tempem marszu. Gronkiewicz pozostaje przy kwatrowaniu szwadronu, reszta nas natychmiast kładzie się we dworze na górze, zajmując olbrzymie dwa pokoje. Dwór jest bardzo stary, wałacy się prawie ale szalenie typowy, ganek z kolumnkami. Znowu, dzięki Bogu, łóżka; rozbieramy się zupełnie, myjemy dokładnie, co za rozkosz!

Śniadanie, bez gospodarzy, o godz. 10-iej, później załatwiam sprawy plutonu. Otrzymuję rozkaz rozpoczęcia podsłuchu radiowego. RKD i N-ka, rozstawione w sadzie, zaczynają swą pracę. Wiele stacji niemieckich pracuje w eterze, używają głównie szyfru literowego. Zbieram sporo materiału podsłuchowego, przekazuję go do Sztabu Brygady. Bardzo pragnę, żeby miało to jakąś wartość wojskową dla nas.

Obiad z gospodarzami, typowymi obywatelami ziemskimi i ich dwu synami, jeden z nich chodzi na Politechnikę.

Spodziewamy się znowu wymarszu o zmroku i nie mylimy się. Wychodzimy o godz. 17.45. Tym razem marsz jest króciutki, tylko 5 km. do Przasnysza. Przechodzimy koło kwatery Sztabu, która mieści się w najokazalszym gmachu miasta, w szkole. Kwatery szwadronu są roz-

rzucione trochę za miastem, na t.zw. Zawodziu. Gotują kolację, kasza i gulasz.

O godz. 20-ej dostaję rozkaz zabrania ze sobą części szwadronu i zorganizowania ośrodka łączności w m. Mchowo, 5 km. na północ od Przasnysza. Wydają nam ostrą amunicję. Ładuję swego Visa.

Pułki są już w przodzie na stanowiskach bojowych. Zabieram cztery patrole telefoniczne i dwie stacje i przechodzę do Mchowa. Czasu do wyznaczonego terminu /g. 23.00/ mam jeszcze dwie godziny. Rozkazuję otworzyć szkołę, niewykończony jeszcze murywany budynek, i zakładam tam centralę. Przyłączam się na słupie do linii stałej idącej na Przasnysz, a patrole budują połączenia do pułków stojących bardziej na północ. W ten sposób szwadron rozpoczyna pracę. Stacje prowadzą nasłuch, gromadzą materiały. Centrala nasza jest centralą na posterunku bojowym d-cy brygady, ma kryptonim Kanada.

W Mchowie stoi też dywizjon pancerny. Sieć telefoniczna działa bardzo dobrze. Gronkiewicz znajduje się przy jednym z pułków w m. Krzynowłoga Mała, Mazur - w Przasnyszu. 11-ty pułk ułanów rozłożył się we wsi Kaki-Mroczyki. Kapitan Rybiński również w Przasnyszu, przy Sztapie Brygady.

Noc całkowicie spokojna, spędzona na słomie w klasie szkolnej przy centrali.

30.VIII  
Sroda

Rano zaczyna się ruch. Do Mchowa ma zjechać cały sztab, przygotowuje naszą szkołę do tego celu rtm. Podgórski, sympatyczny, gadatliwy, tęgi, dobroduszny człowiek. Chodzą słuchy, że była ogłoszona powszechna mobilizacja, ale że została cofnięta. Nastrój doskonały. Kapitan przyjeżdża do Mchowa. Od czasu do czasu mamy przerwy na linii, wychodzą patrole, naprawiają. Sztabu jeszcze niema.

Często zachodzimy z Kapitanem do miejscowego sklepiku na kwas, wafle i t.p. Jego właścicielka robi nam obiady i podaje w izbie za sklepem. Przeważnie potrawki z kury i sałatka z pomidorów.

Czuć ciszę przed burzą, a może to tylko nastrój wewnątrz nas. Noc jednak zapowiada się spokojna. Niestety dywersanci zaczynają działać i tną nam linje telefoniczne. W nocy więc prawie nie śpię, ciągle muszę trzymać rękę na plutonie i stale wysy-

zać patrole.

31.VIII  
Czwartek

W środku nocy na plac przed szkołą zajeżdża olbrzymi tablor złożony z dwustu wozów. Bałagan, krzyki, pojenie koni, rwą nam kołami linje i uziemienia. O świcie szczęśliwie odjeżdżają.

Rano na ścianach domów rozlepiają ogłoszenia o mobilizacji. Gromadzą się chłopci, zaczynają szykować się do drogi. Baby płaczą. Nasza sklepiczarka również we łzach bo musi rozstać się z mężem, za ledwie w 6 tygodni po ślubie. Pocieszamy ją. Naogół cieszymy się z możliwości bliskiej wojny, nastrój bardzo dobry.

Zapomniałem dodać, że jeszcze w nocy odebrałem rozkaz D-cy Brygady o pozwoleniu na otwarcie ognia do ewentualnych samolotów npla.

Wreszcie przyjechał cały Sztab. Melduję się płk. Karczowi jako dowódca ośrodka łączności. Płk. Karcz jest dowódcą naszej Brygady.

Przez cały dzień gorączkowa praca na centrali. Szosą zaczynają ciągnąć uchodźcy z nad granicy, coraz ich więcej. Z Mchowa jest do granicy w prostej linii 23 km., a od miejsca postoju pułków, najbliższej z Krzynowłogi, tylko 10 km.

1.IX.  
Piątek

Noc prawie nieprzespana, drzemałem może ze dwie godziny, tyle było pracy ze sprawdzaniem i naprawianiem rwanych ciągle kabli.

O godz. 5-ej rano odzywają się pierwsze strzały artylerii. Dowiadujemy się, że wojska niemieckie przekroczyły wszędzie granice Polski, a więc w o j n a . Przechodzi mi przez myśl: pradziadek Bogusławski w 1831, dziadek Czapiński w 1863, Tatus w 1920, na zmianie przyszła kolej dziś.

Ruch w Sztapie i na sieci szalony. Nasze pułki starają się wstrzymać npla, samoloty niemieckie co chwila przelatują nad nami. CPL na całej linii, niestety niema blisko nas zenitówek, strzelamy jednak do nich z ckm-ów i karabinów, bez skutku zresztą.

Wywieszają na naszej szkole odezwę Prezydenta o rozpoczęciu wojny, bardzo wszystkim się podoba.

Rano przywożą motocyklem pierwszego jeńca, co sprawia wóród nas i w całym Mchowie niebywałą sensację. Badają go dokładnie, nazywa się Ciok, Polak z pochodzenia, udaje jednak że po polsku nic nie rozumie. Chwalimy doskonale oporządzenie żołnierzy niemieckich. Wzięto go w ten sposób, że nasz patrol natknął się na sześciu konających w lesie Niemców i otworzył do nich ogień. Paru zostało zabitych, dwóch uciekło, a ten udawał zabitego. Szczęściem sprawdzono

mistyfikację i zabrano go. Nic nie chciał mówić poza "Ich bin deutsche Soldaten und werde ich nichts sprechen".

Niemcy prędko wstrzelali się w naszą baterię i rozbili kilka dział rotmistrzowi Niewiarowskiemu. Pułki zaczynają się wycofywać, opóźniając Niemców, którzy wyraźnie górują swoją artylerią.

Masy uchodźców przeciągają, tarasując kompletnie szosę. Opowiadają o mordowaniu ludności cywilnej pod Chorzalami. Wielkie ilości samolotów lecą na Warszawę. Przywożą rannego kaprała z DAK-u, który dostał szoku nerwowego i nie tylko mówi "koło mnie zabili mojego porucznika, koło mnie zabili mojego porucznika". Tak w kółko.

Specjalnego wrażenia to wszystko na mnie nie robi, wszyscy ty-leśmy o wojnie mówili, że sam jej wybuch przyjeliśmy raczej niepo-strzeżenie, a Kapitan nawet cieszy się wyraźnie. Przewidujemy wcią-gnięcie Niemców trochę włąb i uderzenie na nich z trzech stron.

Wieczorem wychodzi przeciwnatarcie z tankietkami, niestety wraca szybko. Najlepiej, jak słyhać, bije się 11-ty pułk ułanów.

2.IX  
Sobota

**Noc** oczywiście zupełnie bezsenna.

Rano jadę motorem do m. Kijowice, na zachód od Mchowa, aby zrobić porządek z patrolem pchr. Ułasa. Zastaję już tam wycofujący się DAK i 7-my pułk ułanów. Przed południem przy-chodzi rozkaz zwinięcia ośrodka łączności. Linje zwijamy bardzo szybko i przemaszerowujemy do Przasnysza. Tu chwile zatrzymujemy się. Siedzę w Sztapie, widzę się z por. Mazurem. Samoloty latają tuż, tuż nad nami, strzelamy do nich.

W mieście nic już dostać nie można, tyle że z Kapitanem udaje nam się ogolić. Dużo sklepów ulega rozgrabieniu przez ludność, a nawet przez wojsko. Papierosów i cukierków mamy wszyscy wbród. Jeszcze w Mchowie przybłąkał się do nas śliczny pies, wilk, nazwa-liśmy go Kanada, zgubił się jednak w Przasnyszu.

W południe zabieram znowu sporą część szwadronu i wycofuję się przez Dobrzankowo, Dobre, Szczuki, skręcam na zachód do cukrowni Kra-siniec. Cukrownię zastaję już prawie opuszczoną przez ludzi. Miej-scową centralę wewnętrzną wykorzystujemy jako wojskową. Tu będzie znowu posterunek bojowy D-cy Brygady. Staże moje radiowe pracują, choć nie wszystkie jeszcze, bo niema elementów dla drugiej RKD.

Poznaję jakieś miejscowe panny, na rozmowie z nimi mija wie-czór. Znalazłem sobie kwaterę ze sprężynowym łóżkiem, mam nadzieję że odpocznę. Kolację zjadam u właścicielki tego pokoju, która szy-kuje się też już do ucieczki. Sztabu jeszcze niema. Kładę się spać.



3.IX  
Niedziela

W nocy budzą mnie, bo przyjechał SzeF Łączności, mjr. Brodzinski i wręczył mi elementy ruchu dla RKD. Budzę więc kpr. Muszewskiego i robię z nim odprawę w moim pokoju. Znowu rozbieram się. Nie sądzony był wypoczynek; o godz. 2-iej w nocy alarm, pośpieszny wyjazd. Okazuje się, że Niemcy ciągle posuwają się w głąb kraju i choć nasze pułki opóźniają ich, musimy dalej się wycofać. O świcie przechodzimy do m. Wężewo, 4 km. na zachód od Kraćinca, gdzie znowu zakładamy centralę na posterunku bojowym. Opuszczając Krasiniec zniszczyłem trzy wagony cukru załadowanego już do wagonów stojących na bocznicy cukrowni, by nie dostał się w ręce Niemców. Poprostu oblaliśmy worki benzyną. Szkoda.

W Wężewie, gdzie znów jestem d-cą OŁ, wynika kwestja z umieszczeniem aparatów dla Sztabu. Mjr. Freyman dosłownie zmienia pięć razy decyzję co do kwatery. Pięć razy więc zmieniałem i ja rozkaz, przenosząc centralę raz do szkoły to znów do domku leżącego w zupełnie innej stronie, i tak w kółko. Cholera mnie brała.

Cały Sztab zjechał; gorączka olbrzymia, dużo wojsk przechodzi, m. inn. wraca mocno rozbity batalion strzelców pieszych. Twarze ich zmęczone bitwami, niesamowite poprostu.

Moja RKD przejmuje niemiecki telegram w tekście otwartym o tem że jakieś ich zmotoryzowane jednostki osiągnęły m. Stroboszyn /?/. Chciałem natychmiast przekazać tę ważną wiadomość pułkowi blisko tam stojącemu, ale szukanie oficera szyfrowego, potem samego szyfru i wreszcie szyfrowanie zajęło masę czasu i wiadomość była już spóźniona.

Sprowadzono znowu jeńca, który tym razem powiedział sporo.

Spodziewamy się naszego lotnika. Siedzę nawet osobiście z patroliem płacht na polu. Niestety nie przyleciał wogóle. Nasza Brygada nie korzystała ani trochę z lotnictwa. Polskich samolotów widzieliśmy bardzo mało.

Gdy ściemniło się, w pośpiechu bo Niemcy byli już o parę kilometrów od nas, poprowadziłem szwadron znowu na południe. Po drodze przejeżdżaliśmy tuż koło stanowisk naszego DAK-u, konie płoszyły się od huków dział. Za nami cały horyzont płonął - to Niemcy palili wszystko za sobą. Co za wrażenie, taka czerwień w nocy.

Przemaszzerowałem ze szwadronem przez Nosaki, Malechy do Karniewa, znanego już nam z poprzedniego domarszu. Było to wszystkiego 10 km. W Karniewie spaliśmy z kapitanem przy sklepie i budzili nas ciągle żołnierze próbujący rabowania pustego zresztą już

prawie sklepiku. Centrala była w Urzędzie Gminnym.

4.IX  
Poniedz.

Rano poznaliśmy się z placówką LOPP, jeżdżącą na pięk- 16  
nym samochodzie przasnyskiej straży pożarnej. Jest ich  
16 osób, z czego 12 kobiet, niektóre nawet całkiem przy-  
stojne. Mimo poważnej sytuacji - flirt kwitnie. Mamją oni za zada-  
nie natychmiast zawiadaniać swą centralę w Warszawie o nalocie sa-  
moleotów npla. W tym celu wystawiają placówki obserwacyjne i prze-  
kazują alarm telefonem. Śmiesznie wyglądają te kobiety żyjące w wa-  
runkach polowych.

Odpozywam na kocu w ogródku, słońce grzeje. O 10-ej rano alarm,  
wyruszamy dalej, ciągle niestety na południe, co nas zaczyna już de-  
nerwować. Nie rozumiemy dlaczego nie wychodzi nasze przeciwnatarcie.  
Tym razem przechodzimy 5 km. do majątku Czarnostowo, kwaterujemy na  
folwarku, centrala we dworze. Wyjątkowo dobre warunki OPL, masę du-  
żych drzew liściastych. Zjeżdża Sztab ze wszystkimi samochodami.  
Przybywa też placówka LOPP, gadam z nimi sporo, palimy papierosy, któ-  
rych powoli zaczyna brakować: palę już fasowane Wiarusy.

Dwór jest w Czarnostowie śliczny, bardzo typowy choć już stary.  
Właściciele dawno wyjechali, pustka w majątku zupełna, aż straszy.  
Pomieszczenie dla centrali to <sup>surowy</sup> gabinet pełen zbroi i pamią-  
tek z wojen, jednym słowem małe muzeum. Pokoje Sztabu pełne miękkich  
mebli. W jednym z salonów stale gra radio. Moje stacje pracują właś-  
ciwie ~~bardzo dobrze~~ minimalnie, cała łączność opiera się właściwie na  
drucie. Linje działają naogół dobrze.

Dawno nie widziałem się już z Gronkiewiczem i Mazurem, co u nich  
słychać? MHeniek jest zawsze w przodzie. Nie mam dużo roboty, rozma-  
wiam dłuższą chwilę o naszej dziwnej taktyce z mjr. Śniegockim, d-cą  
cyklistów, który ranny, chwilowo nikim nie dowodzi. Wieczorem zamiast  
słuchania dziennika radiowego na RKD, organizuję słuchanie na miej-  
scowym Telefunkenie. Zresztą spodziewamy się tą drogą też rozkazów  
z Warszawy. Słuchamy dzienników w języku białoruskim i polskim, cie-  
kawia nas specjalnie szczegóły wypowiedzenia wojny Niemcom przez  
Francję i Anglię. Stale jesteśmy dobrej myśli. Straty w Brygadzie  
~~nie~~ <sup>nie</sup> ~~co~~ <sup>co</sup>tychczas małe.

Kładę się spać na centrali, na wygodnej kanapie. Po chwili przy-  
łącza się do mnie Kapitan. Niestety niedługo wypoczywamy.

5.IX  
Wtorek

O 1-ej w nocy alarm. Nagłe zwiżanie wszystkich linji,  
bo Niemcy są już bardzo blisko. Porzucamy nawet dwa bęb-  
ny niezwiniełego kabla. Dowiadujemy się, że Niemcy będą

wstrzymani na obronie stałej przed Pułtuskim, musimy więc odsko- 17  
czyć za Pułtusk. Wychodzimy jeszcze po cieniu. Przed nami dużo ta-  
borów, które staram się wyminąć. Maszeruje ze mną niewielka część  
szwadronu. Idziemy na południe przez Przemiarowo, Olszak. Przed Puł-  
tuskim zatrzymujemy się dla przepuszczenia taborów przy palącym  
się młynie. Północną część miasta zniszczyły nasze wojska dla oczy-  
szczenia przedpola. Idziemy przez Pułtusk, na punkcie przejścia  
/most na Narwi/- względny porządek. Kłusujemy po moście, jak się po-  
tem okazuje, podminowanym. Z szosy wyszkowskiej skręcamy na polne  
drogi, mijamy Grabowiec, Borsuki, Drwały. Droga idzie lasem. Jedzie-  
my na czele oddziału z por. Mazurem.

Zatrzymujemy się o godz. 7.30 w Zatorach /30 km. w cztery i pół  
godziny/. Sztab w pałacu, szwadron we wsi, gdzie kwaterować ma też  
pluton ochronny sztabu, pionierzy i my. Zaraz po zakwaterowaniu się,  
/miejscowi ludzie rozpoznają Zacharewicza i częstują nas obu pysz-  
nym śniadaniem z kakaem/każą mi zmienić kwatery i zająć inną część  
wsi, tak aby pluton ckm-ów był bliżej sztabu. W momencie najwięk-  
szego bałaganu - nadlatują niemieckie bombowce i rzucają trzy bom-  
by. Wrażenie duże. Szczęśliwie spudłowali, spadły 300 m. od wsi, na  
polu.

Znalazł się w Zatorach i Gronkiewicz, mamy wspólną kwaterę. Myje-  
my się dokładnie, odparowujemy, wymianiamy wrażenia i przeżycia.

Brygada, jak dowiadujemy się na odprawie od Kapitana, ma za zada-  
nie patrolowanie rzeki Narwi na odcinku Pułtusk - Wierszbita.

Po obiedzie w gronie nas czterech poszedłem do pałacu. Sam bu-  
dynek bardzo ładny, położony w przeszlicznym parku, wszystko opusz-  
czone przez właścicieli. Piękna biblioteka, przypomina mi naszą w  
Warszawie na al. Niep odległości. Myśli biegną do swoich, co się z ni-  
mi dzieje? Wpada mi do ręki album karykatur marsz. Piłsudskiego Czer-  
mańskiego. Co tu po nim? I tak wszystko Niemcy spalą. Zabieram go  
więc sobie.

Dzień naogół spokojny, osobiście mam mało do roboty, staram się wy-  
poczywać na zapas. Czytam ostatnią gazetę warszawską. RKD i N-ka roz-  
stawione w parku, w pobliżu Sztabu, ale korespondują bardzo mało.  
Pułki kwaterują bliżej Narwi i patrolują jej brzeg. Mieszkam z Gron-  
kiewiczem w małym pokoiku miejscowego nauczyciela, mamy wygodne łóż-  
ko i kanapę. Jemy gotowane kury, rosół. Nasi ordynansi, Zieliński i  
Gut, starają się o wszystko. Noc zapowiada się spokojna.

Przespaliśmy się świetnie, aż 11 godzin. W nocy była  
6.IX szalona dywersja na linjach telefonicznych. Postanawiamy  
Sroda

pójść na patrole i zapolować osobiście na dywersantów, bo docho-  
dziło do tego, że znajdowano po dwa bębny zwinięte w krzaku, i wo-  
góle mase przerw, widocznie cęgami cięty kabel.

Szykuje się zagon kaweleryjski na tyły npla, wybiera się Kapi-  
tan i Gronkiewicz. Nie dochodzi to jednak do skutku.

Dzień znowu spokojny, dużo śpiemy, dużo jemy, szczególnie owoców.

Chciałbym wysłać pieniądze do domu, ale poczty niema, a polowa  
za nic nie gwarantuje, więc wolę się wstrzymać. Odpoczywamy bo do-  
tąd spało się wogóle minimalnie, stale alarmy i zajęcia nocne na  
centrali, tak że zmęczenia wykazi z nas i spać możnaby całą dobę.

O zmroku jadę samochodem po rozkazy do D-cy Armii do Pniewa.  
W drodze powrotnej utykamy w piasku. Wracam o 21.30.

Wieczorem wszyscy wychodzimy na te patrole oficerskie. Zbie-  
ramy się o 10-ej na centrali. Przed nami na 10 minut wyszły na  
linje normalne patrole reperacyjne po dwóch ludzi, teraz wychodzi-  
my my, każdy w towarzystwie żandarma. Biorę rewolwer do kieszeni  
i wyruszam w kierunku Popowa Kościelnego na linję do 1 p. Szwoleże-  
rów. Żandarm prowadzi kabel w rękę, ja posuwam się obok, nasłuchu-  
jąc uważnie. Idziemy bardzo wolno po wertepach, rowach i rżyskach.  
O północy dochodzimy do Wielęcina, gdzie zainstalowany jest aparat

7.IX  
Czwartek

kontrolny obsługiwany przez patrol Ułasa. Złości mnie,  
że on sam, w piżamie, śpi sobie spokojnie, a ja mam je-  
szcze taki kawał przed sobą drogi. Podkrećcam go trochę.

Po kwadransie odpoczynku - ruszamy dalej. Przecinamy szosę Wie-  
rzebica - Wyszaków. W pewnym momencie słyszę głos "stój bo strze-  
lam", potem parę strzałów i ktoś ucieka po polu. Jak się okazuje  
to kpr. Majewski z patrolu idącego przede mną natknął się na dywer-  
santa, który niestety zwiął. Był konno.

Koło godz. 3-ej rano dochodzimy do centrali 1 P. Szwol. w Popowie  
Kościelnym. Pułk szykuje się już do odmarszu. Jesteśmy bardzo zmę-  
czeni, zmarznięci i głodni. Odpoczywamy pół godziny i wracamy. No-  
gą ledwo wleczeni. Już zrobiło się jasno. Mijamy znów Wielęcina  
i szczęściem 5 km. przed Zatorami spotykamy samochód wysłany po nas.  
Przyjeżdżamy nim do Zatorów o 7-ej rano. Okazuje się, że dawniej  
projektowany zagon teraz dochodzi do skutku. Idą nasze dwa pułki  
kawalerii, a od nas dwie stacje i trzy patrole telefoniczne pod  
d-ctwem Mazura i Gronkiewicza.

Ja wróciłem z tej nocnej wycieczki ostatni, niestety nikogo się  
nie upolowało. W nocy artylerja niemiecka ostrzelała teren Zato-

rów, sztab był już w niebezpieczeństwie. Jak stwierdzono to dywersanci zapalając stogi zboża przed i za parkiem wskazali cel Niemcom. Obyło się szczęśliwie bez strat.

Zatory opustoszały. Sztab wyjechał. Zostaje jedynie centrala, jedna RKD i Kapitana ze mną. Śpiemy na słomie w pałacu, odpoczywam po tej parszywej nocy. Ze Sztabu pozostał jeszcze płk. Albrecht, d-ca 1-ego Szwoleżerów, ale i on ma o 17-ej wyjechać. Rozmawiamy o sytuacji, zresztą jak zwykle nic nie rozumiem. Znowu jadę do Pniewa, do gen. Kowalskiego, lecz nikogo tam już nie zastałem. Wymaszerowali wcześniej. Wbijam.

O 17-ej zostaje sam zupełnie. Mam rozkaz czekać na patrole związające już linje i z tą częścią szwadronu maszerować w nocy dalej. Spotkanie umówiliśmy w m. Skuszew, tuż za Wyszkiem.

Ogarnia mnie dziwny nastrój. Naokoło cisza zupełna, Niemcy zajęli już Pułtusk /obrona stała spaliła na panewce/, nikt nas nie ubezpiecza. Łażę po pustym pałacu, kroki moje dudnią głucho po posadzkach, wszędzie rozgardiasz. Nadchodzi uczucie strachu. Cisza aż boli. Minuty wloką się okropnie w tej samotności, a Saganowskiego i Zacharewicza wciąż niema. Mam czekać do 18-ej, ale czekam dłużej. Kościół naprzeciwko, chcę wejść, ale zamknięty, głuchy. W jednej chacie pozostała tylko jakaś para staruszków, przygotowana na wszystko.

Wreszcie o 18.45 nadchodzą. Oddycham głęboko. Natychmiast wyruszamy. Okazuje się, że mojego konia zabrali wcześniej i muszę jechać na rowerze. Już pociemku mijamy wieś Zatory, Wielęcina, i skręcamy w szosę na Wyszki. Na szosie znowu masy wojska, chwilami idzie aż trzy kolumny obok siebie. Trochę na rowerze, trochę marznąc na taczance, w ciągłym strachu aby tabory się nie oderwały, osiągamy Wyszki. Miasto pali się.

Widok poprostu dantejski. Masy wojska w niemożliwym bałaganie, wśród krzyków, nawoływań i przekleństw, przeciągają przez płonące ulice. Żar bije w twarz, dym gryzie w oczy. Całe prawie miasto w ogniu. Ostatecznie nie możemy przebić się głównymi ulicami, skręcam więc i bocznymi szybko dojeżdżam do mostu na Bugu. Na rozwidleniu szos tuż za mostem znowu bałagan. Po raz pierwszy widzę ciężkie działa, co dodaje nam otuchy. W ciemności szukam w Skuszewie naszego ciężkiego taboru. Znajduję Kapitana i Mazura /zagon spalił na panewce/, wreszcie i samochody i kuchnię. Szwadron przemarznięty raczy się gorącą kawą. Znajduję też mojego Pietraszka z Flisem.

8.IX  
Piątek

Jest godz. 1-sza w nocy. Godzinny odpoczynek, w czasie którego zasnąłem w stodole przy koniach. O 2-iej jedziemy szosą na Radzymin, Mazur na czele. Marsz dosyć szybki, choć konie bardzo zmęczone. Na parę kilometrów przed Radzyminem skręcamy na prawo. Tu przy drodze spotykamy dywersanta straszliwie zbitego przez ludność, zakutego w kajdany; podobno wyrzucony był z samolotu. Polnemi traktami dojeżdżamy do m. Zawady, gdzie są nasze przejściowe kwatery. Przez tę noc, od Zatorów, odwaliliśmy 53 km. Natychmiast spać. Sztab stanął w folwarku Jaktorów.

W południe o godz. 14-iej otrzymuję rozkaz przejść z całym szwadronem i taborem do tego folwarku oddalonego o 2 km. Dwór tu małutki ale bardzo miły, obrosnięty winem ze zwieszającymi się gronami.

Kapitan przedstawia mnie właścicielce folwarku, pani pułkownikowej Taube. Zjadamy u niej obiad, z kompotem. Centrala w oficynie gdzie w piwnicy instalujemy drugą na wypadek zniszczenia tamtej. Patrole stoją w pogotowiu w aleji. Po chwili wychodzą wszystkie na budowę. Linje prowadzą do pułków i do obrony stałej, przygotowywanej na Bugu..

Mam chwilę wolną, zasypiamy z Gronkiewiczem na derce pod drzewem. Samoloty niemieckie co chwila przelatują nad nami. Sieć działa naogół dobrze. Wieczorem właścicielka ucieka. Śpimy z Kapitanem na cudnych tapczanach, objadamy się pozostawionym kompotem z czereśni.

W nocy budzą mnie, bo patrolom zabrakło kabla i muszę im go dowieźć. Biorę taczankę i jadę na zachód, przez Guzowatkę do Ludwina, gdzie spotykam patrol Zacharewicz<sup>Witold</sup>a. Ciągłe wygląda przystojnie, nosi chełm przekrzywiony na bakier, nigdy nie przestaje być aktorem. Oddaję mu kabel, wracam o świcie, zmarzniety okropnie i patrolowi Baszuckiego już tylko posyłam.

9.IX  
Sobota

Tymczasem już w sztabie pobudka, więc znowu noc nieprzebrana. Martwią mnie bardzo moje buty z okropnymi dziurami na podeszwie. Niby głupstwo, ale niema nadzieji na nowe, do Warszawy jechać oczywiście nie mogę, wojskowych wyfasować ani mowy. Co robić?

Dzień mija spokojnie; siedzę przeważnie na centrali obsługiwanej przez patrol kpr. Lachwskiego. Objadamy się winogronami ze ściany, ale kończą się szybko.

O 18-iej wyjeżdżam z Kapitanem szarym Fiatem do Radzymina po zakupy i aby wreszcie zreperować buty. Po drodze na szosie ostrze-

liwuje nas lotnik niemiecki z ckm-u. Leżymy w rowie. Cholerne uczucie być zwierzyną na którą polują. 21

W Radzyminie natychmiast rozpoczynam szukać szewca. Wszyscy Żydzi wywiali, wreszcie znajduję jakiegoś b. sympatycznego Polaka. Zmiejsca bierze się do roboty; siedzę bez butów dwie godziny ale nie narzekam bo flirtuję z ładną córką majstra. Za 6zł mam wreszcie świetne nowe zelówki, a dałbym chętnie i 50. Kamień spada mi z serca.

Tymczasem Kapitan załatwia sprawunki. Kolację zjadamy u Mazura na poczcie, gdzie jest centrala wojskowa wykorzystująca linje stałe. Znowu mamy słodycze i ... świeże skarpetki, których brak dawał się we znaki. /Bieliznę pierze mi od czasu do czasu ordynans, noszę nieprasowaną, ale grunt że czystą/.

Wracamy o 22-ej do Jaktorowa i kładziemy się spać na materacach na pierwszym piętrze, bo tamte wczorajsze tapczany służą już wyższym oficerom.

10.IX W nocy o 2.30 alarm oficerów. Ubieramy się piorunem, Nędziela cały Sztab już na nogach. O świcie wymaszerowuję jedynie z dwoma stacjami radiowymi. Mijam Wolę Rasztowską i ostrym marszem /dużo kłusuję/ jadę do m. Kozły, gdzie mam się zameldować u D-cy Brygady. Nikogo jeszcze tu niema. Kryję stacje przed lotnikiem i siedzę w ciepłej chałupie. Dostajemy gorącej herbaty i jajka na twardo.

Przyjeżdża płk. Karcz, mjr. Freyman, mjr. Brodzikowski. Melduję się, nawiązuję łączność radiową. Nagle, gdy sporo wojska przeszło już przez m. Kozły, nadjeżdża Kapitan z "rozkazem naczelnego wodza", aby wrócić na Bug, znowu na obronę stałą. Lotnik lata wciąż nad nami. Rozkaz to rozkaz. Wracamy. Przez Chróściele, na szosę i spowrotem. Zatrzymujemy się w Folwarku Wola Rasztowska. Okazuje się, że była nowa zmiana rozkazu, znowu odmarsz na wschód. I tak to w tym miejscu Brygada się skończyła. Tabory porobiły masę niepotrzebnej drogi, konie pomęczone okropnie, Brygadjer nie ma pojęcia zielonego gdzie są jego oddziały. Radio moje działa, ale nie wszystkie stacje zgłaszają się, a jeśli nawet są w eterze, to nie wiedzą gdzie są ich pułki lub dowódcy.

Po krótkim postoju w Woli Rasztowskiej, /był już wieczór, położyłem się więc z Mazurem i Gronkiewiczem we wstrętnej brudnej jakiejś norze na słomie/ obudzono nas i wyruszyliśmy znowu na południowy wschód.

W marszu spałem w N-ce, nie wiem którądy szliśmy, dość że zatrzymaliśmy się w lasku na 1 km. przed folwarkiem Stanisławów.

-17-

BIZU/A12

11.IX  
Poniedz.

Tej nocy zrobiliśmy około 30 km; była z nami duża część szwadronu, ale bez taborów. Tutaj spotkaliśmy pluton żandarmerii i dowiedzieliśmy się, że m.p. Sztabu zostało zmienione z folwarku Jagodne /7 km. na północ od Stanisławowa/ na folwark Stanisławów. Zgłupieliśmy, nie wiadomo co robić. Jadę do tego folwarku, staram się nawiązać łączność radiową, napróżno. Czekamy więc. W "pałacu", który okazuje się starą, zaniedbaną niemożliwie rudera, rezydują jeszcze dwie staruszki i "panienka" w wieku lat minimum 45. Za mleko liczą ułanom po 15 zł za litr, ode mnie i od podchorążego biorą po 7.50 zł za herbatę, jajecznicę, komfitury i przedziwnego egipskiego. Okazuje się, że jedna z tych pań to teściowa gen. Skwarczyńskiego. Na podwórzu żołnierze rozbijają trochę stodołę z sianem i piwnicę z jabłkami, co wzbudza niesłychaną awanturę, ale same nie chciały wojsku nic sprzedać. Wystawiam im za siano kwit, mogą go użyć w celu wiadomym.

Na takim oczekiwaniu na jakieś rozkazy schodzi dzień cały, przy czym próbujemy ciągle nawiązać jakąś łączność. Jedziemy wreszcie z Mazurem do miasteczka Stanisławów, gdzie natykamy się na wchm. Babickiego z częścią naszych taborów i dowiadujemy się, że Sztab stoi w jakimś folwarku na półn. od Stanisławowa. Udajemy się tam i odbieramy rozkaz i trasę marszu dla całego szwadronu. Natychmiast.

Niemcy są bardzo blisko, na półn. od nas, po drogach jeżdżą ich samochody pancerne. Rozkazuję kpr. Kasprzakowi, dcy RKD, czekać na nas w m. Dobrze przy kościele /tamteży mieliśmy przechodzić/, przeładowujemy samochody ciężarowe bo jeden nawalił, Jaklicz z Ułasem zostają, ale już jest gorączka. Szwadron rozbity na trzy części. Sami wracamy Dekawką z Mazurem do folwarku, i natychmiast, jest godz. 21.30, wyruszamy.

Trasa nasza ma nas zawieść aż do m. Mingosy, 35 km na wschód i lekko na południe od Stanisławowa. Mijamy Młęcin skąd posyłam Żebrowskiego na rowerze do m. Dobrze po RKD, dalej wieś Poświętne. Calusienka wieś spalona, kominy tylko sterczą, a po drewnianym kościele - tylko pusty plac pozostał. Wrażenie ogarnia nas ogromne, cisza, pustka dokoła.

Na drodze pełno zabitych koni; okropny widok, jak wzdęte brzuchy i wyciągnięte w górę sztywne nogi zciągają roje much. Wieś została zbombardowana przez lotnika, choć nie było w niej wojska. To są Niemcy.

Przechodzimy przez Garczyn i dalej przez lasy na wschód

12 IX  
WTOREK

O godz. 7-ej rano osiągamy m. Leśnogóra. Dowiadujemy się, że dalsza droga jest już zajęta przez Szkopów, więc chce-



my się siłą przebić. Nawiązujemy bitwę, pierwszą bitwę, w której biorę osobisty udział.

Wojsko umieszczamy po zagrodach, kawaleria spiesza się, artyleria nasza rozpoczyna ogień. Początek jest doskonały. DAK wstrzelał się w Niemców, szwadrony nacierają i odrzucają npla do tyłu. Już koniowodni prowadzą konie, mamy ruszać dalej, szwadron ustawia się na drodze, gdy nagle zaczyna się kłóść na nas ogień artylerii niemieckiej. Zapanowuje panika. Oddziały przebiegają przez wieś, armatki zmieniają stanowiska, ruch szalony, wszystko pod gęstym ogniem. Nasz szwadron spiesza się znowu i wychodzi na linię, prowadzi ich Gronkiewicz, za ledwie garstkę ludzi. Piechota niemiecka naciera na nas. Kule karabinowe gwiżdżą tuż koło ucha. Piu, Piu, piu ... Wycofujemy się, co jest jednak bardzo utrudnione ze względu na wąską drogę i masę zaangażowanego wojska.

Konie biegają luzem, krzyki, ogień nieprzerwany.. Tuż koło mnie rozrywa się pocisk; zabieram sobie kawałek, który kilkanaście centymetrów za ledwie ode mnie upadł, jeszcze gorący...

Z opowiadania Gronkiewicza wiem, że w końcu został z pięcioma ludźmi na linii, nikogo obok. Dał rozkaz wycofania się, czołgali się w strasznym ogniu, tuż koło niego upadł zapalnik, wziął go.

Przez wieś przechodzą ranni /kilkunastu/ m.inn. por. Świerbiński, dostał kulę w kolano.

Panika opanowała wszystkich, cała równina między wsią a lasem pełna wiejącego wojska. Wreszcie zapadamy w las. Trochę porządkujemy się i stwierdzamy brak wielu ludzi, koni i wozów.

Przechodzimy lasami do m. Wiśniewo, gdzie zapadamy na odpoczynek w gęstym lesie. Zmęczeni jesteśmy bardzo i wyczerpani nerwowo zupełnie. Nie mamy pojęcia co się dzieje z resztą Brygady. Nasz szwadron rozbił się na dwie części. Cały taboń z kuchnią na czele oraz jedna stacja RKD /Kasprzaka/ zostały gdzieś z tyłu. Kapitana też przy nas niema, wyjechał z ostatniego m.p. Sztabu do Warszawy po samochody i nie wiadomo kiedy wróci i w jaki sposób nas znajdzie.

Stoimy więc w lesie <sup>Wiśni</sup> ~~Wiśni~~ w Wiśni, opatrujemy rannych, odparowujemy. Dowodzi naszą częścią Brygady d-ca 11 P.Uł. płk. Skrzynecki. Naradzamy się co robić; otoczeni jesteśmy naokolusieńko Niemcami, sytuacja jest wcale niewesoła, wpadliśmy w prawdziwą matnię. Nas trój ciężki. Próbuje nawiązać łączność radiową z 1 DP, gdzie są,

co robią, jaka sytuacja... Odzywa się ich N-ka. Podejrzewam, że jest w ręku npla, bo proszą żeby im nadać tekstem otwartym nasze miejsce postoju. Nie pozwalam na to absolutnie, szyfru miejscowości jednak nie mamy, bo niema nikogo przy nas ze Sztabu. Pomimo że poznajemy po głosie mjr. Jedigera, z-cę szefa sztabu /mjr. Freyman po wypadku samochodowym został odesłany do szpitala/, tekstem otwartym nazwy wsi nie podaję. To samo z RKD. Myślę że Kasprzak wpadł do niewoli i że Niemcy chcą dowiedzieć się gdzie mogliby nas złapać. Kończymy więc denerwującą korespondencję i płk. Skrzynecki, który cały czas stał przy mnie na stacji w jej czasie, postanawia działać na własną rękę - przebić się nocą przez otaczający nas kraj Niemców.

Głodni jesteśmy i my i konie, kuchni żadnej niema. O godz. 19-ej, gdy tylko zrobiło się ciemno, ruszamy w drogę na południe. Chodzi o przejście przez szosę Mińsk Mazowiecki - Kałuszyn i o omińnięcie Kałuszyna z lewa lub prawa. Wiemy, że Kałuszyn trzymają już Niemcy.

Marsz długo pamiętny. W kompletnej ciszy posuwamy się, nie wolno rozmawiać ani palić papierosów. Przed dojściem do szosy rozdzielamy się na trzy równoległe kolumny w takim szyku, we mgle nadchodzącego świtu, przeskakujemy szosę w okolicy m. Jędrzejew. Szczęśliwie udało się. Mam jeszcze w uszach odgłosy pancerek niemieckich patrolujących tę drogę, gdy ukrywamy się tuż przy niej.

13. IX  
Sroda

Idziemy dalej. Przy tym szybkim marszu gubią się nasze trzy taczanki i wóz RKD. W rejonie Wierzbina przecinamy linię kolejową do Siedlec. W miejscu tym tor był bombardowany, peknę więc olbrzymich leji po bombach, konie i krowy leżą zabite przy drodze. Druty telegraficzne pozrywane, słupy - powywracane. Wojna.

Krótki, godzinny postój w Piasecznie /kpr. Muszewski myje się/, dalej przechodzimy przez Kiczki, skręcamy na wschód, przez Wężyczyn, Jeruzal dochodzimy do Kamieńca, gdzie po prawie 48 godzinach ~~marszu~~ marszu rozbijamy w lesie biwak. Ludzie i konie niesamowicie wprost wymęczeni, bez jedzenia od paru dni.

Szczęściem jesteście już przy 1 DP, która nas ubezpiecza. Od Wiśniewa zrobiliśmy 45 km. Stoimy w lesie do godz. 20-ej, szykujemy spanie, ale ... znowu wymarsz. Jadę w N-ce przy płk. Karczu, który znalazł się w 1 DP. Szwadron z Mazurem i Gronkiewiczem

14. IX  
Czwartek

ztyku. W nocy, koło 2-ej, osiągamy wieś Szostak, gdzie zatrzymują nas bliskie strzały. Przegrupowujemy się, N-ka nawiązuje łączność. Okazuje się, że nasze patrole wykryły w m. Ruda tabor zmotoryzowanej dywizji niemieckiej. Po-  
stanowiona została bitwa.

Spieszni ułani idą w tyralierę na lewo i prawo, pionierom i nam został przydzielony środek, atak na samą Rudę. Spieszamy się, robimy zbiórkę i zajmujemy linię wyjściową. Strzały padają już gęsto, nasza artyleria wali. Posuwam się w tyralierze pod górkę, na której szczycie widzę wieś z okazałym czerwonym budynkiem szkoły na czele.

Tymczasem patrol pionierów z por. Sitkiem na czele podłożył miny, na które wpadł pierwszy uciekający niemiecki samochód nala-  
dowany amunicją. Wyleciał w powietrze z szalonym hukiem i żoną ognia. Ostatni samochód kolumny został cudnie trafiony z armatki ppanc. Teraz co chwila wylatuje w powietrze amunicja i benzyna naprzemian. Co za widok! Cieszymy się szalenie, duch panuje wspaniały, pierwsze to zwycięstwo nasze.

Dochodzimy do wsi i zajmujemy ją. Po chwili ściągamy do zdobytej wsi całe wojsko i tabory. Oglądamy wieś. Tuż przy szkole rozbite i spalone dwa samochody łączności niemieckiej, a przy nich parę strasznie zmasakrowanych i spalonych żołnierzy szkopskich. Obok trup cywila - Polaka, zastrzelonego przez nich, bo pokazał im polską książeczkę wojskową, jeszcze leży ona u jego stóp.

Mamy paru jeńców. Mjr. Zdanowicz wpadł do szkoły, zeszedł do piwnicy, gdzie natknął się na trzech ukrytych tam szoferów. Zawołał Zacharewicza i wspólnie wzięli Szkopów do niewoli. Kpt. Piotrowski, oficer operacyjny naszego Sztabu, bada ich teraz i rewiduje. Znajdujemy u nich dużo drobiazgów pochodzenia polskiego, czekoladę, zapałki i pocztówki z Krasińca, znanej nam przecież cukrowni. Idą więc krok za krokiem za nami.

Opatrywanie rannych, swoich i jeńców, opowiadania wrażeń z bitwy ..., ogólna radość.

1 DP maszeruje już dalej, w kierunku wsi Żebrak. Probujemy 3 zdobyte motocykle DKW, jeden jest zupełnie nawet dobry. Chodzimy po wsi, zburzonej solidnie przez własną naszą artylerię. Tymczasem pułki 1-ej DP znowu nacierają, słychać gęste strzały. Opuszczamy więc wieś i posuwamy się za piechotę. W pewnej chwili ogłaszają

alarm ... gazowy. Gorączkowo przymierzamy maski, ale nie wierzymy temu i rzeczywiście alarm okazał się fałszywy.

Dla dopełnienia wrażeń w tym dniu, słyszemy nagle krzyki "Kawaleria na czoło"; widocznie należy pogonić Niemców. Natychmiast zbieramy się, szable w dłoń, płazem po zadzie konia i ruszamy do szarży. Emocja szalona. Szwadron nasz wali pierwszy. Klusem. Widzimy przed nami Niemców. Rozwijamy się w linję, konie jakby świeżych sił dostały. Przechodzimy w galop. Krzyk unosi się "Bij, zabij" Rwę, wymachując szablą. Chrypnę od krzyku. Niestety u końca pola po którym walimy, rysuje się ściana lasu. Niemcy wpadli weń pierwsi, a nasza szarża musiała się zatrzymać przed lizjerą. Nasza własna piechota, ciągle strzelając gdyśmy ją w galopie mijali, raniła nam kpr. Podbielskiego.

Po krótkim odpoczynku w lesie, gdzie zebrała się nasza część Brygady, wyruszamy dalej w celu oczyszczenia terenu z Niemców. Buszujemy cały dzień po lasach, polach i wsiach w rejonie Woli Wadyńskiej. Gdy wjeżdżaliśmy od strony północnej do wsi Rosy, ostrzelano nas ~~wz~~ ckm-ów. Znowu trochę popłochu. Tragiczna jest ta panika na odgłos byle karabinu. Chronimy się w zagrodach. Idziemy po chwili znowu przez wieś i znowu ~~prę~~ serji z bliskiej odległości. Tym razem wystawiamy nasz ckm, a ja z kilkunastu ułanami wychodzę na linję dla jego ochrony. Leżymy chyba z godzinę wpatrzeni w lassek skąd strzelano. Wysyłam Parafińskiego na patrol do tego lasku. Tymczasem zrywa się szalony wichur, spadają wielkie, ciężkie krople deszczu, za chwilę ulewa straszna. Mokniemy do nitki.

Lasek okazał się już pustym, więc po przejściu burzy gromadzi-  
~~my się~~ my się i na mokrych siodłach wyruszamy dalej. Zbieramy się na płu skraju wsi i rozpoczynamy nocny marsz, niewiadomo dokąd, w każdym razie na południe. Mijamy Jamielnik i około północy zatrzymuje-

15.IX  
Piątek

my się na odpas koni w jakiejś wsi, zdaje się w Szysz-  
kach. Tu spotykamy paru oficerów artylerii 1-ej DP.  
Opowiadają nam jak ich wykończyli Niemcy poprzednie-  
go dnia. Bez reszty, pozostały same rozbitki, działa musieli znisz-  
czyć, Bogu dziękują że żyją.

Maszerujemy dalej, mijamy spalony Stanin i wreszcie o 2-ej w no-  
cy zatrzymujemy się na dobrze zasłużony wypoczynek we wsi Wróbli-  
na Mała. Cały szwadron kwateruje na jednym podwórzu, u sołtysa,  
a my we trzech w izbie na słomie. Śpimy od godz. 2.30 do 12-ej w po-  
łudnie. Śniadanie, mycie się. Z naszego stanu 151 ludzi jest tu ~~z~~

/ - 22 -

BI 24/A/2

27

z nami tylko 92, brakuje całego taboru. Rozmawiamy o nich z Mazurem i Gronkiewiczem, co się z nimi stało, gdzie Kapitan, czy wogóle jeśli żyją lub nie wpadli do niewoli, znajdują się kiedyś?

Nasz szwadron jako szwadron łączności skończył się już dawno, działają jedynie dwie radiostacje, a pozatem wozimy ze sobą taczniki, ale w zasadzie jesteśmy zwykłym szwadronem linjowym.

Wyruszamy o godz. 17.30 w nowy marsz, na kierunek południowy - wschód. Ściemnia się, zaczyna padać deszcz, za chwilę leje już jak z cebra. Jest to jeden z najprzykrzejszych marszów; przemoknięci do nitki, w cienioci kompletnej, posuwamy się wszyscy na ogonach, bo nic nie widać na odległość dwóch metrów. Boimy się, aby lekki nasz tabor nie został ztyłu, ale szczęściem idziemy wolno.

O godz. 1.30 dochodzimy do wsi Strzyżew, gdzie zatrzymujemy się na postój przejściowy, po ~~zabiciu~~ ok. 23 km.

16.IX  
Sobota

Spaliśmy do godz. 10-ej, później odpoczynek. Zafasowaliśmy DAKowską kuchnię, z całym jej taboru. Trochę się ich wachmistrz zrywał na to, ale mieliśmy przynajmniej w Strzyżewie obiad, dawno przez nas nie oglądany, a właściwie nie jedzony.

Jedzie z naszymi wojskami dużo oddziałów z innych wielkich jednostek, jak np. cały pułk kawalerii KOP-u, bateria PAL-u i td.

Wymarsz ze Strzyżewa o 14-30. Marsz, którego dziwnie jakoś nie pamiętam, poza tem, że był raczej bardzo długi, ale widocznie bez specjalnych ewenementów. W m. Borska, o 10-ej wieczorem zarządzony był godzinny odpoczynek i odpas koni. Przez ten czas siedzieliśmy w chacie, jedliśmy kolację /gorące mleko i chleb z masłem /, dla wojska ugotowała coś kuchnia polowa.

Dalszy marsz nocny aż do godz. 3.30 rano, kiedy to przyszliśmy do miejscowości Rudno /50 km za nami/.

17.IX  
Niedziela

Oddawna mówi się w Brygadzie o dłuższym, parodniowym odpoczynku, połączonym z reorganizacją Brygady. Od Prus Wschodnich mamy już wielki szmat drogi za sobą. Nasz szwadron, w związku ze znacznie zmniejszonym stanem liczebnym też wymaga dużych zmian. Pragniemy wszyscy trochę spokoju, możliwości zebrania myśli, możliwe to było jednak, gdybyśmy dostatecznie odskoczyli od bezustanku deptających nam po piętach Niemców. Więc chyba Rudno nie będzie tym wymarzonym miejscem.

Sama wieś Rudno wygląda bardzo porządnie, są nawet chodniki betonowe, Kościół duży, budynki i zagrody przyzwoite. Wieś to widocznie bogata. My kwaterujemy w trochę gorszej części wsi. Kładzie-

my się spać i śpiemy do 12-ej w południe. Chłopcy nasi znaleźli jakiś prywatny samochód, idziemy go obejrzyć. Chcielibyśmy go sobie zafasować, ale okazuje się w fatalnym stanie. Co by tu dobre auto robiło?

Z Mazurem udajemy się na plebanję, gdzie dużo już wojska; ślinka nam idzie na obiad akurat podawany do stołu. Z radia księżowskiego nic się nie dowiadujemy. Po obiedzie /?/ idę z Henkiem Gronkiewiczem na spacer i o dziwo, zdobywam w sklepiku 200 sztuk mahorkowych papierosów. Właśnie skończyły się wszystkie dotychczasowe zapasy i bieda zaglądała do papierośnicy.

We wsi pełno łazików wojskowych z rozbitych oddziałów i masa uchodźców cywilnych z różnych stron Polski. Robi to fatalne wrażenie i działa demoralizująco na nasze nienajgorsze oddziały. Nastrój ogólny wcale niewesoły, wszyscy czujemy się jak goniona zwierzyna.

"Dłuższy" odpoczynek skończył się o 18.30. Kierunek - Parczew. Gronkiewicz wyjechał wcześniej tam, aby zobaczyć się ze znajomym rejentem. Biedny Heniek, nie ma swej walizki zostawionej w taborze, więc chce zaopatrzyć się w jakąś bieliznę.

Przemaszzerowaliśmy przez Parczew, pusty i głuchy i dalej na południe przez m. Urszula do m. Małków /47 km. od Parczewa na linii Parczew - Chełm/. Ostatnią część drogi odbyłem w N-ce. Konie i ludzie bardzo zmęczeni, trochę zniechęceni tym ciągłym wycofywaniem się. Na krótkim postoju słucham komunikatu na naszej N-ce i łapię hłobową wiadomość. Wojska sowieckie wkroczyły do Polski. Pędzę do Brygadiera. Siedzi w rowie przydrożnym, zmęczony, zdaje się drzemać.

18. IX  
Poniedz.

"Panie Pułkowniku, melduję się posłusznie w ważną wiadomością". No co tam macie, poruczniku, takiego niezwykłego?" "Sowiety przekroczyły nasze granice na szerokim froncie i posuwają się na zachód". Płk. Karcz zaniemówił. Głowa opadła mu nisko. Świt akurat wstawał.

Ruszamy dalej. Dyskutujemy wieści i nie wierzymy im, ale mimo to wpadamy w nastrój bardzo ponury. Z całego Sztabu są jedynie z nami Brygadier i mjr. Jedigar. Dziękujemy jednak Bogu, że niema tych wszystkich oficerów, szefów i żandarmów, samochodów i taborów, bo spokój przynajmniej mamy na postojach.

Dobijamy do Małkowa. Wieś bardzo mizerna, biedna. Melduję się z N-ką u Pułkownika, na drugim skraju wsi. Rozmawiam z Armią i 1 DP.

o naszej sytuacji, nadaję telegram do armii tej treści: Jesteśmy w m. Małków, za bagnem Krowim, badzo wyczerpani, zmęczeni, bez żadnych środków motorowych. Karcz."

Rzeczywiście pułkownik jeździ konno lub w mojej N-ce, mjr. Jedigor /bardzo go lubię/ na taczance po ckm-ie. Obiad zjadam z Pułkownikiem, mjr. Jedigorem, por. Gorczyńskim i adjutantem. Pierwszy raz widzę ich wszystkich w tak fatalnym nastroju. Zmęczenie i zniechęcenie maluje się na twarzy Brygadiera. Po obiedzie wszyscy kładziemy się na kocach pod drzewami. Jeszcze jest ciepło, choć to przecież już druga połowa września.

Spotykam jakąś pannę; jak się okazuje chodzi do gimnazjum w Cieszynie i zna z widzenia Ryską. Wracają na myśl wspomnienia z Wisły. Zaledwie cztery tygodnie temu... Wogóle dużo myślę o "dawnych" czasach. Nie mam żadnej wiadomości z domu, a przecież Warszawa tyle razy była bombardowana. Ja też już zupełnie nie piszę, bo poczty polowej oczywiście w ogóle niema. Wyobrażam sobie jak boją się o mnie.

Przez radio otrzymujemy odpowiedź - telegram z Armii. Odszyfrowuję go z Gronkiewiczem, szyfr techniczny, podwójny, i okazuje się, że każą nam znowu maszerować. Tym razem jednak nie daleko, 15 km. zaledwie.

Ruszamy o godz. 18.00. Noc zapada już szybko. Jest ciemno, choć oko wykol.

W marszu odbieram na ROD-zie dziennik z Londynu z wiadomością o zajęciu już przez Moskali Wilna i Równego. Na konia i lecę do Pułkownika na czoło. Melduję mu co słyszałem. Wrażenie znowu fatalne. Co robić? Czy istnieje jakakolwiek nadzieja?

19.IX  
Wtorek

Po wielu postojach dochodzimy do wsi Krobonosz. Jest godz. 4-ta rano, rzucamy się natychmiast w stodołę na siano i śpimy we trzech jak zabici do 9-ej. Zaraz po pobudce przemaszerowujemy 2 km. do wsi Ochoże, gdzie, o dziwo, znalazł się jeden wóz z naszego taboru. Gronkiewicz odzyskuje nadzieję na znalezienie swej walizki. Stoi tu masa wojska.

Na chybicka reorganizujemy szwadron, w skład którego wchodzi też obecnie część ciężkiej kompanii telegraficznej jakiejś rozbitej dywizji. Miało ich być 30-tu, ale do obiadu stawilo się przy kuchni aż 90-ciu. Nowy balast i kłopot z wyżywieniem.

Na drodze łapiemy jakiegoś biegnącego konia, bo brakuje nam naszych pogubionych i taczanki mamy stale oblepione pasażerami.

Ponieważ jesteśmy niedaleko Chełma, jedzie tam Gronkiewicz po zakupy /anodówki, skarpetki, akumulatory, słodycze/, a tymczasem pchr. Saganowski jako oficer kasynowy szykuje jakiś pyszny obiad.

Udajemy się nań na taczance, niby bryczką, i akurat spotykamy wracającego Gronkiewicza. W składzie więc Mazur, Heniek, Saganowski, Zacharewicz i ja zasiadamy w chałupie do wspaniałego obiadu, jakiego dawno nie jedliśmy. Rosół z kury z makaronem, po pół kury gotowanej, kaczką duszoną, kartofle, pomidory, a na deser winogrona i czekolada przywieziona z Chełma. W ogóle pod względem słodczy Gronkiewicz spisał się kapitalnie /innych rzeczy nie było/. Mamy zapas cykierków czekolady, łomu słodowego i wafli na dobre parę dni, a brakowało nam tego bardzo, widać cukier krzepi.

W szwadronie mamy też teraz rkm-y, jeden ckm, a nawet ten nowy długi karabin ppanc, wszystko to poznajdywane na drogach i po rowach. Tworzą się więc sekcje ognia dla ewentualnej obrony taczanek i stacji.

Ruszamy w dalszą drogę o 18.30, o zmroku. Idziemy na Chełm szosą, dokąd mamy 12 km. Te 12 km. szliśmy jednak nie mniej ni więcej jak sześć godzin. Co chwileczkę cała kolumna zatrzymuje się, bo wojska na drodze masa i ledwo można się poruszać. Mijamy miasto, które robi wrażenie jednego warownego obozu. Wszędzie barykady, rowy, druty kolczaste. Znowu co chwila stajemy i wreszcie zmęczeni tym makabrycznym marszem - czekaniem, zatrzymujemy się na przedmieściu w jakimś sadzie. Śpimy we trzech na słomie w brudnej izbie, wśród uchodźców.

20. IX  
Sroda

Na ulicach Chełma z radością zauważamy szarego Piata z Kapitanem. Jakimś przewziwym cudem nas odnalazł.

Odpooczynek, zresztą problematyczny, trwa 3 godziny.

Już o 6-ej rano wyruszamy dalej. Spoczątku konie idą w rękę, kierujemy się na południe przez wieś Strupień Nowy, Sielec aż do Wojsławic. Wchodzimy w piękne, bardzo malownicze okolice. Dużo lasów liściastych, pagórków, jarów. Marsz sam spokojny, równy.

W Wojsławicach zatrzymujemy się na odpas, zajadamy się straszliwie kwaśnymi jabłkami, ale nie dbamy o pochorowanie się. Po półtora godzinie - dalej na Grabowiec, skąd już tylko 4 km. do nowego m.p. we wsi Rogów. Razem mamy w nogach 50 km. drogi.

Przechodziliśmy niedaleko Izbicy. Co słyhać z siedzącą tam i Myszka i z jej hrabiami na Tarnogórze? Chyba nie wyjechała do Warszawy, zawsze na wsi lepiej przechodzić wojnę.

W Rogowie stajemy o 19-ej. Zajmujemy dwa podwórza, kwaterę mamy b. słabą. Obok w kuchni żołnierze ciągle coś pitraszą, hałasują. Por. Mazur zasypia natychmiast a ja z Gronkiewiczem zjadam szczupłą kolację: ostatnią puszkę konserw na trzech, po kromeczce chleba a na deser - wspomnienia od warszawskiego Bukieta. Walimy się na słone.



21.IX  
Czwartek

O 3-ej w nocy przychodzą rozkazy. Mazur mozolnie rysuje plan rozkwaterowania szwadronu, ja idę do folwarku do Sztabu, jako oficer łącznikowy. Oczywiście wszyscy tam śpią jeszcze, kładę się więc na podłodze wciśnięty między dwóch jakichś oficerów w pokoju dla łączników. Obudzili wszystkich nas o 5-ej. O dziwo, znalazł się cały prawie Sztab, jest mjr. Brodzikowski i cała niemal reszta.

Do szwadronu zjeżdża Kapitan, przywożąc ze sobą całą ciężarówkę naładowaną sprzętem łączności. Znajduje się też, Chwała Bogu, cały dawno zagubiony nasz tabor, oprócz RKD. Jest i walizka Gronkiewicza.

Kapitan zdobył gdzieś po drodze spółdzielnię wojskową i teraz znoszą ludzie do naszej izby parę skrzyń najrozmaitszych rzeczy. Po chwili zaczynamy wybierać sobie potrzebne drobiazgi. "Zdobywam" śliczne ostrogi, kilka par skarpetek, kołnierzyki, mydła, żyłki, pastę i szczoteczkę do zębów i masę innych rzeczy. Są też pasy, gilzy, guziki, oznaki POS-a i strzeleckie, baretki orderów i t.d. Wpuszczamy ułanów naszych do środka, wybierają sobie co chcą, cieszą się jak dzieci. Podoficerowie fasują pasy oficerskie i ładne ostrogi, fajki i setki innych rzeczy. Dowiadują się o tym i inne oddziały, schodzą się oficerowie pionierów, ale mało co już dla nich zostało. Neumann i Sitek dostają oznaki C.W.Kaw.

Z chwilą powrotu Kapitana Rybińskiego wraca nastrój bardziej wojskowy, podczas gdy przy Mazurze był raczej koleżeński. Mamy odprawę z mjr. Brodzikowskim, który zapoznaje nas z planem przejścia Brygady do Rumunji, gdzie podobno organizuje się nowa nasza armia. Wiadomości o Sowietach potwierdzają się. Dochodzą nas wieści o rozstrzelaniu mjr. Borejszy za wydanie rozkazu do złożenia broni. /Ostatecznie nie rozstrzelano go/. Wszystko to wprowadz nastrój bardzo niewesoły.

Wieczorem odwiedza nas por. lotnictwa Edward Medzger, kolega Kapitana, który już dawno jeździ z naszą Brygadą. Opowiada on przy kolacji o stanie naszego lotnictwa, że 75% oficerów zginęło w pierwszych dniach wojny. Akurat trzy tygodnie temu wybuchła, a wydaje nam się, że trwa już wieki.

Wszystkie samochody osobowe kazano odesłać do Sztabu, tak że Kapitan przekazuje tam i swego Fiata, razem z szoferem Kucharzem. Kapitan opowiada o swych przejściach w ostatnich 10-ciu dniach. Muszę z wielkim żalem rozstać się z moim koniem Flisem; żyłem się z nim już bardzo, tyleśmy razem przeszli, ale bierze go sobie Kapitan, co mnie trochę złości, a ja dostaję tego złapanego w Ochorzy.

Flisa bardzo lubiłem, był pierwszorzędny spokojny koń, miał świetne chody, trochę, może mało wytrzymały.

22.IX Spimy spokojnie do 4-ej nad ranem. O 4.30 wymarsz na Piątek postój do lasu, oddalonego o 5 km. Po drodze śliczna

mgła o wschodzie słońca. Różowawe opary unoszą się nad drogą i łąkami, gdy posuwamy się stępa w kolumnie. Raptem przebiegają drogę trzy dziki i walą polem naprzekaj do lasu. Natychmiast nasi chłopcy łapią za karabiny i rozpoczynają polowanie. Jeden z dzików zwalnia, potem pada. Przytaskali go i władowali na wóz; będzie obiad.

W lesie zebrała się masa wojska, las tętni życiem obozowym. Rozkładamy się biwakiem. Z miejsca płonie kilka ognisk, na okolicznym polu kopie się kartofle. Gronkiewicz piecze swym patentowanym sposobem, najpierw dużo popiołu i dopiero węń wrzuca kartofle. Zajadamy się niemi, bo nic niema innego.

Leżymy wszyscy razem na kocach, żołnierze gotują co się da. Sprowadzamy sobie z taczan<sup>ki</sup> patefon i puszczamy kilka płyt w rodzaju tango Milanga, czy ostatnią nowość, tango Notturmo. Patefon i płyty "wyfasowane" oczywiście z jakiegoś pustego dworu. Oglądam mojego Czermańskiego. Jest całkiem przyjemnie, chwilowo.

Toaleta, mycie się gruntowniejsze, golenie przed lusterkiem powieszonym na bucie.

Odwiedzamy nas nasz płatnik z DAK-u. Idziemy do niego z Gronkiewiczem i inkasujemy masę forsy, 300 zł na umundurowanie, 180 zł dodatku wojennego i jakieś inne tam jeszcze dodatki. Pensję zasadniczą, 208.30 zł, pobrałem za wrzesień jeszcze w Mchowie.

Przyjeżdża też por. Medzger, ten lotnik; gadamy o sytuacji.

Przychodzi rozkaz, ażeby skasować niepotrzebne tabory, a do koniecznych pozaprzągać po dwie pary koni. Przysyłają nam te konie, okropne chabety, wymęczone. Wybieramy najlepsze i najlepsze podwody.

Wynika awantura o kuchnię, która związała do DAK-u, pomimo tego, że były tam już dwie inne. Dopiero rozkaz D-cy Brygady przydziela nam ją definitywnie, ale obiadu oczywiście już nie gotują dla nas. Ja zjadam kawałek upolowanego dzika, doskonale przyrządzonego przez obsługę RKD. Do czego to nie nadają się moi radiotelegrafisci!

O godz. 18-ej wychodzimy z lasu. Maszerujemy na południowy-zachód, nikt z nas nie wie dokąd właściwie. W jakiejś wsi, podczas pojenia koni, rozmawiam z uciekinierkami z Pomorza.

W następnej dochodzi nas radosna wieść, że 25 tysięcy wojska niemieckiego, z powodu braku benzyny i amunicji, poddaje się nam. Rzeczywiście przejeżdżają samochody o białej chorągwi z generałami

niemieckimi, ale jak wkrótce niestety okazuje się, to oni nam proponowali poddanie się. 33

23.IX  
Sobota

O godz. 4-ej rano przyjechaliśmy do jakiejś wsi, której nazwy nie pamiętam, gdzie staliśmy do 8-ej. Jazda dalej.

Cały dzień w siodle. Droga prowadzi po polach, ugorach, lasach i wogóle po strasznych wertepach. Zatrzymujemy się dość często, bo idzie cała Brygada, a nawet więcej.

O zmroku ostrzelani jesteśmy przez artylerię, zresztą niecelnie. Zapada noc, któraż to już skołej spędzona na drodze. Włażę na wóz, jestem bowiem odpowiedzialny za ewentualne oderwanie się taboru, a mój nowy koń, okropny wariat, nie może ustać na miejscu i stale tańczy pode mną. Drzemię więc sobie na wozie pod plandeką, bo zaczyna padać deszcz.

Naokoło nas wybuchają na niebie rakiety, białe, pojedyncze i potrójne, w każdym razie niemieckie. / W ogóle Niemcy używają masę rakiet/. Stoimy w miejscu dwie godziny, marzną niesamowicie; Kapitan, Mazur i Gronkiewicz śpią w jakiejś budzie.

Ruszamy dalej, masa wojska a szczególnie taborów.

24.IX  
Niedziela

Nadchodzi godz. 6-ta rano, mija akurat miesiąc od godziny mobilizacji. Zostawiamy za sobą wieś Bożą Wolę i kierujemy się ku Suchowoli, 12 km. od Zamościa; wyjeżdżamy na dość płaską górkę. Naokoło jak na dłoni lekkie zniżenie się terenu, laski i wsie. na

W takim momencie gruchnęły nas strzały z ckm-u i karabinów, zagrała niemiecka artyleria. Zeskakuję z wozu i biegnę do szwadronu, który już się spieszył i w gromadzie kryje się koło koni, karabiny przygotowane do strzału, ale nie wiadomo gdzie celować. Zaczynają do nas strzelać i z drugiej strony. Kapitan woła o rkm, biegnę pędem po niego do taborów, ale nie mogę znaleźć amunicji, zresztą tabory zaczynają nawracać. Robi się ogólna panika. Ogień zwiększa się, kule gwizdają tuż koło uszów. Słyszę ten charakterystyczny dźwięk ich, który mówi że przelatują bardzo blisko, tuż, tuż.

Mijają nas w gorączkowej ucieczce auta z dowództwem armii. Widzę jak o metr ode mnie pada zabity nasz woźnica na taczance, ułan Gmurek; zdążył krzyknąć tylko "o Jezu", kula przebiła mu serce a potem oparł się w taczance.

Już wszystko nawraca, część wozów przytem przewraca się, łamie dysze. Panika zwiększa się z sekundy na sekundę, kule gęsto gwizdają, piu, piu.

Staram się zatrzymać ludzi, klnę okropnie, ale ani mowy, ułani też się wycofują. Cała równina pełna uciekającego wojska, luźno galopujących koni, taczanek, samochodów. Artyleria kładzie się nas, pociski rwą się pod nogami. Na nieszczęście równina ta jest bagnista i pełna rowów, w które co chwila wpadają koła. Spoczątku biegnę pieszo, później wskakuję na będącą w galopie taczankę, oblepioną już ułanami. Jedzie na niej m.inn. szef Kołakowski i kpr. Parafiński. Staramy się omijać rowy, przechodzimy w kłus, ogień trochę się zmniejsza. Oddychamy spokojniej, usiłujemy zebrać myśli. Po drodze zabieramy Zacharewicza, jak mówi rannego i kontuzjowanego, bo przejechanego przez coś.

Przed nami las, gros wojska obchodzi go z lewej, my kierujemy się w prawo. Po drodze zauważam naszą RKD w rowie. Schodzę z taczanki z Kołakowskim i zbliżam się do radiostacji. Dyszel ma złamany, konie dyszlowe wywrócone i po brzuchy w błocie, męczą się bardzo, szpicowych niema.

Po dłuższej pracy udaje nam się wyswobodzić konie, ale stacji zabrać nie możemy. Decyduję się więc na zniszczenie jej. Rozbijam siekierą szufladki, zabieram szyfry, słuchawki, mikrofon, lampy nadawcze i odbiorcze, wreszcie całego ROD-a. Nasza taczanka dawno odjechała nie czekając na nas, idziemy więc tak obładowani pieszo.

Jesteśmy obaj strasznie, nieludzko zmęczeni i nerwowo wyczerpani. Dochodzimy do jakiejś wsi, wszędzie pełno żołnierzy, ale naszej taczanki niema. Kierujemy się do innej. Głód dokucza nam niesamowicie, dostajemy z jakiejś obcej kuchni trochę kawy i kromkę chleba. Jest to Boża Wola. Przy szkole zauważam Gronkiewicza, okazuje się, że są tu też Kapitan i Mazur. Ma tu być zbiórka szwadronu, choć jest dopiero paru ułanów.

Powoli wojsko uspokaja się po tej panice ucieczki. Nasza piechota wyszła jednak do natarcia i teren tamtej strzelaniny w ogóle nie był zajęty przez Niemców. Taboru niema wcale, parę tylko taczanek. Koni naszych też bardzo niewiele. Zbiera się nas coraz więcej.

O 1-ej w południe prowadzę konnych do lasu za polem strzelaniny, gdzie jest wyznaczona zbiórka całej kawalerii, jednak jest jej tam mało, dowodzi mjr. Śniegocki.

Tymczasem Kapitan zabiera pieszych i idzie pochować Gmurka. Kopią mu głęboki grób, przykrywają płaszczem, do ręki Broniek wkłada mu święty obrazek, mówi parę słów, rzuca pierwszą łopatę ziemi. Mogiła rośnie, Parafiński robi porządną brzozy krzyż. Leży tam, gdzie padł.

Oprócz Gmurka zabity też pchr. Pawłowicz, pochowano go pod krzy-

żem przydrożnym. Padło też paru innych.

6 walizkach słuch zaginął, wszystko rozgrabione przez nasze wojska. Zostałem jak stoję. Tabor powoli znajduje się, tracimy jednak trzy taczanki rozbite w czasie ucieczki.

Wychodzimy z lasu kierując się na południe. Natychmiast po wyjściu, w opuszczony przez nas przed chwilą zagajnik wstrzeliwuje się artyleria: dzięki Bogu, że nas tam już niema. Kapitan każe mi zostać i sprowadzić tabor, który niewiadomo poci /jak się okazało później po wodę i aby gotować obiad/ pojechał do wsi Feliksówka. Pozostają samiuteńki na opustoszałym poboju. Masę rozbitych wozów, parę trupów ludzkich, dużo zabitych koni. Wrażenie odnośnię ogromne.

Odnajduję tabor i gonię szwadron, przyczem kieruję też tam pionierów. /Mjr. Zdanowicz został ranny w pośladek/. Łapię ich we wsi Hubków o godz. 17-ej. Akurat palą kancelarię, do cna, do ostatniego papierka i ostatniej mapy.

O zmroku cała kawaleria rusza naprzód. Po chwilowym błędzeniu dobijamy do Potoczka, gdzie jest zarządzony dwugodzinny postój, podczas którego grzeję się w chacie. Pocziwe kobiety zabierają się do gotowania nawet dla nas klusek, ale nie zdążamy ich zjeść, bo ruszamy w dalszą drogę.

Znowu przebijanie się. W ciszy i skupieniu przeskakujemy szczęśliwie jakąś szosę patrolowaną przez niemieckie samochody pancerne. Mijamy Adamów.

25. IX Jest już po północy. Krótkie postoje, bo mjr. Śniegocki  
Poniedz. dużo kłusuje, a tabory zostają za każdym razie w tyle.

Znowu mam za zadanie przyłączać je. Gronkiewicz nie ma konia, śpi na wozie. Ja znowu mam nowego, znaleźnego, karego. Niezła nawet szkapa, tylko że ma paskudny liszaj na szyji.

Deszcz zaczyna padać. Na jakimś postoju tulimy się z Kapitanem do siebie, ale i tak marzniemy okropnie. Zimny już jest ten wrzesień, szczególnie noce.

Pamiętna to noc. Chcemy przedrzeć się na północny-zachód, ale natykamy się na Niemców, więc zawracamy i przeskakujemy wbród przez rzekę Wieprz, wąziutki tu bardzo, pod wsią Senderki. Mokrzy po pas, tuż za Wieprzem wchodzimy we wspaniałe lasy ordynacji Zamojskiej.

Niesamowicie stromy wjazd pod górę i dalej, dalej przez cudne lasy liściasto-iglaste. Ja znowu wracam po tabory, niestety dwa wozy, przykuchenny i wiozący zaszlachtowaną świnię, wpadają w ręce Niemców, którzy deptają nam po piętach.

Widzimy nawet ich okopy i w nich myjących się rano żołnierzy w feldgrauach.

Odnajduję szwadron we wsi ukrytej w lesie, napoły spalonej, Starej Hucie. Ach, spać, bo dwie noce nikt oka nie zmrużył. Przyśliśmy tu o 8.30 rano. Wczoraj straciliśmy trzy taczanki, sporą część taboru i drugą już RKD. Mam więc z mego plutonu radio jedynie N-kę. Niema też wielu ludzi i koni, między innymi brak Zacharewicza.

Wczoraj, po bitwie pod Bożą Wolą, latały jeszcze nad nami samoloty, zrzucały bomby. Nasze zenitówki strąciły dwa z nich. Co za widok, jak spadają w smudze czarnego dymu, jak dusza się raduje.

Przespaliśmy się w tej zabitej deskami wsi do godz. 15-ej, potem obiadek złożony z kurczaków pysznie usmażonych przez Kostecznego.

Na wieczornej odprawie - nowa organizacja. Już oficjalnie przestaliśmy być łącznością. Mamy pluton konny pod por. Mazurem w sile 25 szabel i pluton pieszy, pode mną, liczący około 50-ciu ludzi.

26.IX  
Wtorek

Noc spokojna. Pobudka o 3-ej rano. Wyszliśmy ze Starej Huty o samym świcie. Ja mam polecone prowadzić tabor całej Brygady. Przyłączył się do nas pchr. Rohn z Brygady Wileńskiej.

Maszerujemy przez Majdan Szlachecki, gdzie zdobywam worek kaszy, i dochodzimy do Brzezin. Tam za górką odkrywają przeciągający spokojnie tabor niemiecki i postanawiają go zaatakować. Mnie każą podciągnąć nasze wozy jak najbliżej, podciągamy już pod ogniem artylerii i odstrzeliwujących się Niemców. Szwadron spieszony pod krzyżem strzela do widocznych świetnie taborów npla. Ogień coraz gęstszy, szrapnele padają na podwórko folwarczku, gdzie stoję z taborem. Plk. Mączewski każe szukać mi reszty taboru, wracam więc do Brzezin, ale po drodze szrapnele padają tuż koło mnie. Koń płoszy się, staje dęba. Galopuję, kryjąc się za szyją konia. W pewnym momencie urywa mi się pasek od mapnika i gubię go. Wśród rwących się wokół pocisków, zatrzymuję konia, schodzę zeń i odzyskuję głupi mapnik. Galopem wpadam do wsi, tam już jacyś saperzy nawiewają do pobliskiego lasu. Po raz ostatni widzę Gronkiewicza galopującego do Sztabu 41 DP po ogień artylerii.

Chcę wracać do szwadronu, do swoich, i spotykam po drodze uciekające taczanki i ludzi. Okazuje się, że 11 pułk ułanów wycofał się z pod krzyża, stanowisko to zajęli natychmiast Niemcy i roz-

poczęli morderczy ogień na nasz szwadron z odległości 400 metrów. Kapitan opowiada jak koło niego padali ludzie, sam ma przedziurawiony kulą płaszcz i mundur. Por. Mazur pada ranny w udo. Zabierają go na konia, wycofują się wszyscy. Ogień nie słabnie. Cud Boski, że nie mamy zabitych. Ranni są jeszcze uł. Szwanke w nogę i uł. Olszewski w głowę, za uchem; ocalił go chełm.

Udaje mi się zebrać prawie cały tabor we wsi Majdan Kasztełański. Tu zbieramy się, opatrujemy rannych i przechodzimy do wsi Górecko Stare, gdzie dalsza zbiórka. Znajdujemy tu plut. Świderski, mój dawny zastępca, który zaginął po Bożej Woli.

Zagubił się dziś prawie cały mój pluton pieszy. N-ka, ostatnia stacja z mojego plutonu radio, rozbita została pod Brzezunami, obsługi też niema.

Jest nas garstka. Odstawiamy rannych do punktu sanitarnego w Górecku. Żegnamy się serdecznie z Mazurem. Czy go kiedyś zobaczę? Zżyliśmy się w tej wspólnej niedoli bardzo. Gronkiewiczza Heńka niema, został przy Sztacie 41 DP.

Wszyscy jesteśmy bardzo przygnębieni, ogólne wiadomości też fatalne, w Zamościu są już Niemcy.

O godz. 15-ej, na własną już rękę, bo nikogo niema, resztką szwadronu ruszamy w stronę Zwierzynca. Gała droga usiana sprzętem, pełno pełno wszędzie śladów bitew, dużo grobów niemieckich i polskich. Dobijamy do stacji kolejowej Zwierzyniec oddalonej 2 km. od miasta. Parafiński idzie na rozpoznanie miasteczka, sami odpoczywamy w mieszkaniu zawiadowcy stacji. Kapitan w strasznym nastroju, jesteśmy wszyscy bardzo przygnębieni i przybici. Nie mówimy tego sobie ale czujemy zbliżający się koniec.

Deszcz.

Wraca Parafiński, widział Niemców. Przechodzimy wobec tego 2 km. do wsi Obroc, gdzie stajemy na folwarku p. Łosia. Drży on ze strachu, nie chce przyjąć nas na kwaterę, w ogóle bardzo niegościnnie dom.

27. IX Nocujemy w oficynie, gdzie parę dni temu spali Niemcy.  
Sroda W nocy wysłaliśmy rozpoznanie na Zwierzyniec. Znowu stwierdzono tam obecność ich.

Spaliśmy do 8-ej. rano. Deszcz leje jak z cebra. Wysłaliśmy Lachowskiego z Parafińskim na zwiad okolicy. Nie wiemy absolutnie co robić ze sobą. Jest z nami Medzgieł i jakiś starszy ppor. z 11 p.uł. Dyskutujemy wszystkie możliwości, przygotowujemy się na najgorsze.

O 14-ej wraca patrol i przynosi hiobowe wieści. 41 DP złożyła broń, rozeszli się do domów. Cóż nam wypada robić?

Punktualnie o godz. 15-ej, na podwórzu folwarku pod wsią Obroc robię ostatnią zbiórkę szwadronu łączności Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Staje na niej 12-tu podoficerów i 47 ułanów. Melduję Kapitanowi szwadron na zbiórce. Wszyscy są w pełnym oporządzeniu, po raz ostatni.

Kapitan mówi: "Żołnierze! Nie przypuszczałem nigdy, że przejdzie mi przez gardło kiedykolwiek taki rozkaz, jaki teraz muszę wam wydać. 41-sza Dywizja Piechoty złożyła broń, rozeszła się. Musimy i my zniszczyć naszą. Jest to ostatnia zbiórka szwadronu. Dziękuję wam za wszystko w imieniu służby."

Wzruszonemi głosami śpiewamy Jeszcze Polska nie zginęła, wnosimy okrzyk na cześć Rzeczypospolitej. Kapitan płacze, ja płacę, większość podoficerów i ułanów też. Wszyscy się trzęsą. Cwila bodajże najgorsza w moim życiu...

Po wydaniu zarządzeń w sprawie zniszczenia broni, wracamy w milczeniu do izby. Zdejmujemy oporządzenie, zrywamy dystynkcje oficerskie, zrzucamy koalicyjki. Straszne! O Boże!

Pietnastu nas postanawia iść na Węgry i dalej do Francji. Reszta w stronę Warszawy. Dajemy im adresy naszych rodzin.

Tych pietnastu to: kpt. Rybiński, ppor. Żerański, wachmistrze Kozłowski, Jaklicz, Gromadzki, pchr. Rohn, kaprale Lachowski, Parafiński, Koprzywa, Dąbrowski /cudzy/, Starszy ułan Janus, ułani Makowski, Żebrowski i Ławnik.. Przyłącza się też do nas por. lotnictwa Medzgies.

Wyjazd nastąpił na dwóch wozach i dwóch taczankach o godz. 17.18.

Koniec części I-ej.

Spisane z obszernych codziennych notatek, ukończone w dn. 10.X.39 r.



## CZĘŚĆ II.

N A W O Z I E.

Na pierwszej furze jechaliśmy w składzie : Kapitan, por. Medz-  
gier i ja. Powoził uł. Makowski. Usiedliśmy z Medzgierem na tyl-  
nym siedzeniu, szybko jednak zmieniliśmy pozycję na leżącą. Waliz-  
ki gniotą od spodu okropnie, fura podskakuje na wybojach. Zaczy-  
na padać deszcz, więc przykrywamy się ze wszystkim plandekami.  
Palimy w takim "namiocie" papierosy, rozmawiamy o tem co nas cze-  
ka, czy uda nam się przejść przez San. Roją nam się sny o armii  
naszej we Francji, o zwiedzeniu po drodze Budapesztu, podróży  
morskiej i t.p.

Trochę jest zimno. Prowadzi Kapitan siedzący na przodzie  
też pod plandeką i stale kontrolujący mapę. Całe szczęście, że  
mamy mapy potrzebnych odcinków.

Stopnie wojskowe są oczywiście w rozmowach zakazane, "wypijam"  
z Kapitanem bruderszaft. Odtąd będę go nazywał tu Bronkiem. Spo-  
czątku trudno mi było do tego się przyzwyczaić, bo naogół utrzy-  
mywał dystans, ale przeszło szybko.

Przejechaliśmy Józefów /19 km. na południe od Obroczy/gdzie  
skręciliśmy na poł. zachód, dalej Podsosina i na zachód do Tarno-  
grodu.

28. IX  
Czwartek

Przywlekliśmy się tam akurat o świcie, po przejecha-  
niu od Obroczy 48 km. Miasteczko puste jeszcze zupeł-  
nie, sporo zniszczone. Zajechaliśmy na plebańję, pustą,  
ale zato ze śladami gospodarki niemieckiej. We wszystkich poko-  
jach słoma na ziemi, pełno puszek po konserwach, w ogóle bałagan  
i rozgardiasz wprost niesamowity. Spiżarnia rozgrabiona całko-  
wicie.

W międzyczasie Medzgieier wynalazł jakąś swoją znajomą ucie-  
kinierkę i "zameldował się" u niej na śniadanie.

Zapomniałem napisać, że w drodze zachorował bardzo szef Koła-  
kowski. Jęczał straszliwie, miał okropne bóleści żołądkowe. Teraz  
położyliśmy go i jakiś felczer wziął go w obroty.

Reszta gotuje śniadanie, wypoczywa, karmi konie, porządkuje wozy.

Pod kościołem znajdujemy grób polskiego żołnierza bardzo przy-  
zwoicie pochowanego przez Niemców. "Hier ruht ein unbekannter  
polnische Soldat", data, położony hełm, polne kwiaty...

Rozmawiamy z księdzem proboszczem i poleconymi przez niego ludźmi o szansach i trasie przejścia Sanu. Podobno jest ciężko. W ogóle posuwamy się w pasie między Niemcami a Rosjanami, gonimy pierwszych, uciekamy przed drugimi.

Dowiadujemy się, że jest tu w Tarnogrodzie kilku rannych. Idę tam do nich. Leżą w straszliwych warunkach higienicznych. Na jedynym łóżku leży mjr. Światłowski, blade, okropnie zarośnięty, właściwie umierający. Jest czterokrotnie ranny. Słabym głosem opowiada mi jak został postrzelony? Rannego w pachwinę odprowadzono znowu pod ogień, gdzie dostał w nogę, brzuch i rękę. Błaga o pomoc, o odwiezienie do szpitala; tu zajmują się nim "dobre kobiety". Niestety nic nie możemy poradzić, bo pali nam się grunt pod nogami. Wychodzę z izby pod strasznym wrażeniem.

W miasteczku pojawiają się jeszcze samochody niemieckie, ładujemy się więc natychmiast i cichaczem, po jednym wozie, wyjeżdżamy o godz. 10-ej z miasta. Zbiórka koło cmentarza, gdzie oglądamy świeże groby, 12 niemieckich i 2 polskie.

Kożakowskiego zabrać nie mogliśmy, nie było sensu, został przeniesiony więc do tego pseudo-szpitala? Pozostał przy nim. st. ułan Janus, który będzie się nim opiekował. Grupa stopniała więc do trzynastu.

Jedziemy dalej na zachód, do Sanu. Po jakimś czasie Medzger zdecydował jednak nie jechać z nami, ale wracać do Lwowa. Daliśmy mu z Bronkiem po 50 zł, i pożegnaliśmy się. Zostało nas dwunastu.

Jedliśmy przez Bieszczę, Potok i dalej lasem na zachód, kierując się do jakiegoś folwarku tuż prawie nad rzeką.

Niedaleko Kustrawy spotkaliśmy jakiegoś chłopca z synem, który znał dobrze sytuację i poradził nam zajechać do jego wsi Jasienik, gdzie obiecał gościć. Bardzo był sympatyczny i inteligentny. Z wielką ostrożnością poszedł najpierw sam Broniek, potem po jednym wozie przeskoczyliśmy przez drogę, na której widziałem jeszcze niemieckie samochody.

Zapadliśmy we wsi, ulokowaliśmy się w trzech zagrodach. Rzeczywiście ludzie tutejsi okazali się wyjątkowo sympatyczni i gościnni, dali nam kolację.

Postanowiliśmy pozbyć się mundurów i przemienić się w cywilów. Rozpoczęła się wymiana wojskowych ubrań na chłopskie. Również zdecydowaliśmy pozbyć się zabardzo podpadających taczanek i walizek, a wziąć z nich rzeczy jedynie niezbędne. Otworzyłem więc walizkę Gronkiewicza i zacząłem rozdawać jego rzeczy chło-

pom, zachwując jedynie bieliznę. Dowody jego, papiery, fotografię - spaliłem starannie. Smutno mi, bo tyle przeszliśmy razem. Gdzie jesteś, Heńku?

Za moje cywilne łachy chłop dostał 3 bluzy oficerskie, dwie pary spodni, lornetkę i masę drobiazgów Gronkiewicza. Ja zato miałem okropne jakieś ciemne spodnie w prążki, wypłowiałą niemilosiernie i jak psu z gardła wyjętą marynarkę oraz przymałą cyklistówkę.

Do izby zaczęli wchodzić nasi ludzie tak poprzebierani, że trudno ich było poznać i gdyby nie tragizm chwili, to śmiać by się chciało. Komedia, która dla nas była tragedją. Zrobiliśmy we wsi sensację. Stale teraz w chałupie pełno ludzi, wszyscy radzą jeden przez drugiego jak i gdzie mamy jechać. Wszystko to było trochę intersowne bo napraszali się o byle głupstwo, a nawet kłócili się między sobą.

Ponieważ było nas dwunastu, więc wystarczyło mieć trzy wozy. Taczanki miały zostać, brakowało więc jednej podwoły. Ubranie Bronka kosztowało go konia, który zawsze biegł z tyłu jako zapasowy. Trzeci wóz uzyskaliśmy za zbędną czwartą parę koni. Targi trwały cały wieczór i nie było im końca. Wreszcie nastąpiła generalna narada o dalszych naszych poczynaniach i po wielu rozmowach z miejscowymi gospodarzami okazało się, że przejście przez San jest niemożliwe i postanowiliśmy jechać raczej do Lwowa, aby tam zasięgnąć języka i iść do Rumunji albo przez Worochtę na Węgry.

Wreszcie położyliśmy się spać, ja z Bronkiem na rozsuwanej ławie, na której było jednak nam bardzo ciasno. Grunt że ciepło, bo w kuchni.

29. IX  
Piątek

Wstaliśmy o godz. 8-ej rano, wypoczęci i wyspani.

Ponieważ nieustanne interesowanie się chłopów nami stawało się niebezpieczne, po skończeniu targów postanowiliśmy natychmiast jechać spowrotem na wschód. Wyjechaliśmy ze wsi o 9.30. Wyglądamy jak banda dywersantów, mamy przecież jeszcze przy sobie rewolwery. Ludzie ~~wygląd~~ pozmieniali się niesamowicie. Ja w cyklistówce, para w wytłamszonych kapeluszach, Bronek w berecie. Na pierwszym wozie jedziemy we dwóch z Bronkiem, Parafiński i woźnica Makowski. Chcemy ominąć Tarnogród, więc jedziemy inną niż wczoraj drogą, bardziej na południe, przez Naklik, Szyszków, Jastrzębiec, polną drogą na południe do Luchowa. Na tej to drodze, o godz. 14.10 spakaliśmy samochód osobowy z czerwoną chorągiewką i gwiazdą. Pierwsi Bolszewicy. W aucie jechało czterech oficerów, minęli nas spokojnie, bez zaczepienia.

Na drogach sporo rozbitków, żołnierzy podążających za San. Z Luchowa kierujemy się przez Wolę Różaniecką do folwarku Różaniec, gdzie chcielibyśmy zanoć. W ogóle postanowiliśmy ominąć pierwsze linje Bolszewików i wjechać odrazu w ich środek, aby nie narażać się na zaczepianie i ewentualną rewizję. Mamy przecież schowane pod skórą rewolwery, bo ciężko nam się z nimi rozstać.

Tego dnia zrobiliśmy 36 km, gdybyśmy się więc odrazu zdecydowali w Tarnogrodzie na Lwów, to prawie już tam bylibyśmy. Cóż robić, należało spróbować przejście Sanu.

W Różancu zatrzymaliśmy się przed aleją i idziemy z Bronkiem na folwark pytać się niby o owies. Rozmawiamy z sympatycznym rządcą, który bardzo szybko poznał w nas wojskowych mimo naszej cywilnej maskarady. Kwatera dobra. Idziemy do dworu gdzie przedstawiamy się właścicielce pani Jagołdowej, bardzo miłej i dobrotliwej starszej pani oraz jej córce, maturzystce. Incognita naszego nie zdradzamy. Obie odnoszą się do nas szalenie miło i gościnnie.

We dworze byli już Rosjanie, ale nie kwatrowali. Światła niema. siedzimy przy świecach. Często nas wszystkich 12-tu mlekiem, kartoflami i chlebem. Dostajemy nawet herbatę.

Po chwili zjawiają się jacyś cywile, jak się okazuje w podobnej do naszej sytuacji, ale chcący się raczej przedostać pod Niemców. Broniek znajduje wśród nich nawet pośrednio znajomego /znają się z opowiadań wspólnych znajomych/, więc szybko wydaje się kto jesteśmy. Niebezpieczeństwo oczywiście nie grozi nam tu żadne. Jest bardzo przyjemnie w tym starym, typowym polskim dworze, wśród swoich ludzi.

O 21-ej kładziemy się w oficynie spać, dzieląc się łózkami i posłaniami na skórze. Postanawiamy jednak pozbyć się jutro Wisów.  
30.IX  
Sobota

Spaliśmy jak zabici do 6-ej. Po śniadaniu Parafiński szuka odpowiedniego miejsca na zakopanie broni. Szykuje pakę, wazelinuje rewolwery, pakuje i zakopuje. Sam nawet nie wiem gdzie. Wiedzą to jedynie Broniek i Parafiński. Gdzieś pod krzakiem w odległości 150 m. od dworu, za podwórzem.

Zaraz potem szykujemy się do wyjazdu, gdy nagle wjeżdża na podwórze ciężarówka bolszewicka. Szczęściem pytają tylko o drogę, i wynoszą się,

Obładowani jabłkami żegnamy serdecznie panią Jagołdową i córkę. Ruszamy dalej. Kierujemy się przez Obszę, Cewków i dalej na południowy wschód przez Oleszyce do miasteczka Wielkie Oczy.

Już wszędzie pełno wojska rosyjskiego, szczególnie ciężarowych samochodów napchanych żołnierzami. Śmiejemy się z ich chamskiego wyglądu, kałmuckich twarzy, oporzędzenia, a kawaleria to poprostu już skandal: konie nic nie warte, uprząż szmaciana, siódła na oklep bez derek. Łatwa będzie z nimi w przyszłości robota.

Denerwują i złoszczą nas strasznie Żydzi, którzy wylegają na ulice miasteczek i entuzjastycznie odnoszą się do "krasnej armii". Stawiają jej tryumfalne bramy, powiewają czerwonymi chorągiewkami, witają chlebem i solą.

Mamy zamiar jechać całą noc, aby znaleźć się jak najszybciej we Lwowie. I gdy w takim zamiarze zatrzymaliśmy się w jakiejś zagrodzie na odpas koni przy skraju Wielkich Oczów, właściciel tej chaty, Polak, stanowczo odradził nam nocnej jazdy, jako że podobno Ukraińcy w nocy rabują i mordują bez pardonu. Szczególnie skynne są z tego wsie Nahaczów i Czernilawa, leżące akurat na naszej trasie. Zaprowadził nas więc do pobliskiej wsi Żmijowiska, gdzie oddał nas w ręce innego Polaka, p. Mazepy. Tam zatrzymaliśmy się na noc.

Konie i wozy na podwórku, ludzie w chałupie i stodole. W izbie pełno dzieci rozgarniętych i odważnie gadających. Mazepowie rozmawiają jednak ze sobą i dziećmi po rusku, szykują nam kolację.

Poznajemy się z jakimiś uczennicami, bardzo przystojnymi. Rozmowa lekka, nawet wesoła o wszystkim i niczem. Wreszcie kładziemy się spać, ale nastrój jest jakiś zagadkowy, tajemniczy, w powietrzu wiszą niedomówienia.

Mazepowie szepczą ciągle między sobą, ktoś przychodzi, odchodzi zaraz, wyraźnie coś się dzieje poza naszymi plecami. Zasnąłem jednak. Po chwili budzi mnie Broniek i mówi, że tutejsi ludzie knują na nasze konie spisek, że wypytywali czuwającego przy koniach ukana do której godziny ma służbę, że wysyłali go spać i t.d. Postanawiamy wzmocnić wartę przy koniach i sami nie zasypiać na zmianę. Pierwszy poszedł Broniek. O 1-ej zmieniłem go i siedzę na wozie do 4-ej. Zimno już w nocy, nie mam płaszcza, opatulam się kocem i czuwam. My-  
1.X.  
Niedziela

śli kłębią się. Co nas czeka? Czy Rodzice żyją? Co z Baską? Co nas spotka we Lwowie?

Szczęśliwie uratowaliśmy nasze konie, nasz środek lokomocji, ale pod fatalnym wrażeniem ruszamy dalej o 6-ej. Chcemy jak najszybciej minąć te wsie ukraińskie. Jedziemy cały czas kłusem, szybko, z duszą na ramieniu, mijamy Nahaczów, a potem Czernilawkę. Ponieważ jest niedziela i jeszcze bardzo wcześnie rano, więc na drodze nie widać wielu chłopów, i mało kto nas zauważył.

~~Wszystko jest tak jak w Warszawie~~ Wsie puste jeszcze. W Jaworowie pełno rosyjskiego wojska i jeszcze więcej uradowanych Żydów. Jesteśmy już głęboko wśród Moskali, nikt nas jednak nie czepia się. Dopiero za Jaworowem zatrzymuje nas jakiś milicjant z karabinem i czerwoną opaską na ramieniu, puszcza jednak dalej bez trudności. Oddychamy. Chcemy ominąć Janów, ale spotkana na drodze rodzina uciekinierów poddaje nam świetny pretekst jazdy do Lwowa; udajemy się tam mianowicie po przepustki, bo Niemcy bez nich nie puszczają nikogo na swoją stronę, za San.

Przejeżdżamy więc Janów. Już niedaleko Lwów. Moje miasto, bo przecież we Lwowie sięburodziłem. Jak mnie przywita? Trochę dosyć mamy tego trzęsienia się na furze, cieszymy się więc że cel niedaleki.

Z Janowa kierujemy się odrazu na Brzuchowice skręcając w lewo z szosy i wjeżdżając do lasu Żarniska. Jedziemy szybko, konie czują jakby stajnię. Odparzone są jednak już solidnie, szczególnie nasza para. Kończy się już ich służba dla nas, mamy zamiar sprzedać je zaraz we Lwowie. Poczciwe szkapy.

Do Brzuchowic mamy tylko 10 km. Zatrzymujemy się w gajówce, ostatni odpas koni, my wykańczamy mikroskopijne kawałki kury ugotowanej w Żmijowiskach. Pozostajemy jednak bardzo głodni.

Jedziemy dalej przez Jańiska i zatrzymujemy się przy torze kolejowym. Wchodzimy do domku dróżnika, gdzie pytam się o księdza Dziędzielewicza, mojego ojca chrzesnego. Znają go, dawał im ślub.

Dostajemy u tego gościnnego kolejjarza po kubku herbaty i kromce chleba. Ponieważ papierosy, tytoń i bibułki też już nam się skończyły i cały dzień nie paliliśmy, dają nam i po parę papierosów.

Ogólnie muszę stwierdzić, że na całej drodze mieliśmy duże szczęście do ludzi; wszyscy, z bardzo minimalnymi wyjątkami byli bardzo gościnni, dzielili się ostatnim kawałkiem chleba, czuło się wszędzie sympatję, współczucie. Dobrze nam było pośród swoich Polaków, związanych tą tragedią wojny.

Ruszamy naprzód aby ten ostatni już kilometr odwalić. O godzinie 16-ej zajeżdżamy przed stację kolejową Brzuchowice. Odrazu pytam o drogę do księdza. Idę tam z Bronkiem, konie i resztę ludzi kierujemy na noc do t.zw. Bałabanówki.

Serce mi biję, gdy dzwonię do furtki. A nuż będzie tu ktoś z Warszawy? Ale i tak, wreszcie ktoś swój, ktoś co mnie zna.

Witam się serdecznie z ks. Dziędzielewiczem, nie poznaje mnie bo tyle lat jednak nie widzieliśmy się, ostatni raz gdy byłem jesz-

cze niedużym chłopcem. Przedstawiam Bronka. Ksiądz jest jakby trochę przestraszony i szybko orientuję się, że swym zjawieniem się nie zrobiłem mu zbytnej przyjemności. Może obawia się, bo Bolszewików w Brzechowicach sporo.

Zjadamy jednak podwieczorek, myjemy się. Ksiądz żadnych wiadomości o moich nie ma. Ze względu na nienajmilszą sytuację na plebanji, postanawiam spróbować drugiego adresu i udać się do pp. Sokolnickich, naszych odwiecznych przyjaciół.

Odnajdujemy łatwo ich domek. Dzwonię do drzwi. Okazuje się, że jest w domu tylko p. Zofia i to chora. Melduję się jej przez telefon wewnętrzny "Pani Zosiu, ktoś niespodziewany, Wisiek Żerański". Po chwili, idziemy do niej na górkę, witamy się, rozmawiamy, co, jak, skąd przyjechaliśmy. Przepraszamy za strój.

Nadchodzą oboje państwo Sokolnicy, znowu przywitanie, niezwykle serdeczne.

Od tej chwili czujemy się w tym domu jak we własnej rodzinie. Życzliwszej i naturalniejszej atmosfery nawet u najbliższej rodziny nie mogliśmy znaleźć.

Koniec części II-ej.

Spisane z codziennych notatek. Ukończone dn. 19.X.1939.

## CZESC III.

L W Ó W

Okresu dni jedenastu /2.X do 11.X.1939/ jakie spędziliśmy w Brzuchowicach u pp.Sokolnickich dojeżdżając prawie codziennie do Lwowa nie będę mógł opisać tak dokładnie jak dni wojny. Był to okres wypoczynku i wytchnienia po wrażeniach przeżytych we wrześniu. Od czasu przyjazdu do Lwowa codziennych zapisków nie prowadzę.

2-ego października, na następny dzień po "zakwaterowaniu" się u Profesorstwa, wstaliśmy wczesnie, jeszcze przed 7-mą. Po umyciu się i zjedzeniu śniadania przyszedł Parafiński i zameldował, że wozy są gotowe i stoją przed domem. Pojechali z nami oboje pp.Sokolnicy i Haneczka.

Z Brzuchowic do Lwowa jest 9 km, tak że po godzinie byliśmy już w obrębie miasta, na ul.Janowskiej. Bardzo znów tu niedawne walki; kiedy ~~im~~ Niemcy byli już pod samym Lwowem, walczyły z nimi wojska gen.Sosnkowskiego, a potem tereny te zajęli już bez walk Bolszewicy. Na ul.Janowskiej kilka domów spalonych, masę szyb powybijanych, na ścianach pełno śladów od kul. Na jezdni zniszczone samochody, tuż przy bruku - grób.

W mieście ruch olbrzymi. Przejeżdżamy koło teatru, bardzo zniszczonego i skręcamy na plac Rybny, gdzie panuje straszliwe zamieszanie, szalony tłok i harmider. Na ul.Bóżniczej zostawiamy ludzi z końmi z poleceniem sprzedania wszystkiego, sami z pp.Sokolnickimi idziemy do centrum.

Miasto robi olbrzymie wrażenie bo wszędzie nieprzebrane tłumy, na wszystkich ulicach i placach. Ślady walk na każdym kroku. Wojska rosyjskiego widzi się sporo. Dużo też polskich mundurów, ale bez oznak i pasów, no i oczywiście nikt nie ma żadnej broni na sobie.

Za to polskie karabiny widzimy na ramionach milicjantów, Żydów i Rusinów, w cywilu, z czerwonymi opaskami na rękawach. Przed otwartymi sklepami, których jest jednak niewiele, olbrzymie ogonki. Najdłuższe przed tytoniowemi i mleczarskiemi masłosojuza.

Rozstajemy się z paniami i idziemy z p.Profesorem do jakiegoś



pana Wieleżyńskiego na ul Sapielhy. Podobno jego synowie poszli na Rumunję. Chodzi nam o zdobycie jaknajwięcej informacji na temat warunków przejścia. P.Wieleżyński nic nam nie umie powiedzieć konkretnego, od synów wiadomości żadnych jeszcze nie otrzymał.

Sami z Bronkiem wracamy na plac Marjacki i walimy do konsulatu rumuńskiego, przed którym zastajemy olbrzymi ogonek. Okazuje się z rozmów, że wydają przepustki upoważniające do swobodnego poruszania się po terytorium rumuńskim, ale o dostanie się tam - oczywiście się nie martwią. Przepustka taka kosztuje 8.50 zł.

Nie dopchawszy się do konsulatu, zawracamy i włączymy się po mieście. Widzi się w tych tłumach dużo znajomych twarzy, na Legjonów spotykamy Brodzisza z Bogdą. Trudno opisać nastrój Lwowa w tych dniach. Szalony ruch, gwar, ogonki i pełno afiszów na ścianach - oto Lwów z pierwszych dni października.

Mamy ogromny apetyt, ale trudno coś dostać. Papierosy znaleźliśmy w jakiejś budce. Wstępujemy do baru i raczymy się gulaszem za 2 zł. Idziemy na Politechnikę, widzimy się znów z Profesorem w jego gabinecie i zdajemy mu sprawozdanie z dotychczasowych czynności.

Na Politechnice działa polski szpital wojskowy, dużo wypadnie mi jeszcze o nim pisać.

Do Brzuchowic chcemy wracać pociągiem odchodzącym o godz. 18-ej. Profesor wyjechał tuż o 15.35. W dalszym ciągu łazimy po mieście, wreszcie idziemy na dworzec. Badamy rozkład jazdy pociągów na Stanisławów, odchodzi raz dziennie. Sam dworzec, ten słynny dworzec lwowski, zniszczony doszczętnie. Budynek w gruzach, tylko na resztkę wieży widnieje napis "Leopolis semper fidelis" nietknięty. Jedyne wejście i wyjście przez halę też zrujnowaną, ale całą w rusztowaniach. Kupujemy bilety do Brzuchowic i czekamy na peronie. O trzymaniu się rozkładu jazdy oczywiście niema mowy, pociągi przychodzą i odchodzą jak się podoba rosyjskim maszynistom. Naszego wogóle niema, kładziemy się więc w pustym pojedynczym wagonie prawie bez szyb w oknach i czekamy. Czas mija, jest już 8-ma, a pociągu jak niema tak niema. Rezygnujemy więc z jazdy do Brzuchowic aby późnym powrotem nie budzić domu i postanawiamy przespać się gdzieś we Lwowie. Jak w dym idziemy do szpitala na Politechnice.

Zdążyliśmy już przedtem poznać tam parę osób, więc gadamy z niemi czyby nie udało nam się tu gdzieś przemocować. Okazuje się szybko, że wszyscy nasi ułani już się tu też zadekowali, nie wiemy tylko na której sali. Poznajemy dwóch doktorów - poruczników, z wielką ży-

czliwością odnoszą się do nas. Udajemy się na kolację do kantyny, gdzie przy szynce /! / i piwie poznajemy się z grupką oficerów, którym dopiero co udało się zwać z niewoli. Byli przetransportowywani samochodem do Lwowa, i skorzystawszy z chilowej nieuwagi pilnującego ich żołnierza, wszyscy uciekli. Pyszne.

Po kolacji prowadzą nas do jakiejś pustej sali wykładowej. Włażymy jednak z Bronkiem do innej, gdzie zastajemy dwie sanitariuszki. Momentalnie zapoznajemy się i zaczynamy gawędzić. Ten cudny akcent lwowski, te ta joj. Zgrywamy oczywiście bohaterów. Dają nam trochę papierosów, my częstujemy je cukierkami. Rozmawiamy dosyć długo, szykujemy sobie spania na noszach w tym samym pokoju. Oddają nam swe koce i poduszki. Bardzo miło wspominać ten wieczór, bo cały szpital stanowi taką prawdziwą oazę polskości w tym morzu ukraińsko-bolszewickim. Na dobranoc, Danusia głaszcze mnie po twarzy, a ja całuję ją w rękę.

Jestem solidnie zaziębiony, kaszlę wieczorem bardzo. Zасыpiamy.

Budzimy się o 6-ej, bo nasze panny mają dyżur i wstają o tej godzinie. Danusia daje mi swój pamiętnik do wpisania się, co czynię z wielką ochotą w sposób następujący:

"W drodze z pola bitwy aż hen, na południe,  
Na noszach szpitalnych wyspałem się cudnie.  
Więc zamiast podziękii składam w ręce Danki  
Mój okrzyk- życzenie, niech żyją Lwowianki!  
Niech żyją Irenki, Marylki i Muszki,  
Niech żyją kochane me sanitariuszki!"

Obyśmy się spotkali w innych czasach, panno Danusiu. "L.Ż. "

Potem poszliśmy z Bronkiem prosto do konsulatu rumuńskiego, gdzie stanęliśmy w długim ogonku. Pojedynczo poszliśmy do George'a gdzie za filiżankę podłej kawy, dwa jajka i kawałek chleba zapłaciłem 2.50 zł. Z aprowizacją bardzo ciężko, nic prawie niema, a co jest - niesamowicie drogie, bo Bolszewicy zdewaluowali złotego licząc za 1 zł - 1 rubel, gdy tymczasem jeden rubel wart jest 30 groszy. Mają oni masę pieniędzy i najwięcej rzucają się na zegarki, płacąc nawet za najgorsze setki rubli.

Bronek dostał się od kuchni do sekretarza konsulatu, który obiecał mu w każdej chwili wydać wizy /od wczoraj podróżowały do 17 zł./.

Pławimy się poprostu w powodzi plotek, które przeważnie diametralnie sprzeczne, obiegają miasto. To mówi się o wojskach szkockich na Węgrzech, to o Hitlerze na Wawelu, to o angielskich samolotach we Lwowie. Najwięcej obchodzi nas stosunek Rumunów do uciekinierów

z Polski. Podobno obdzierają ich i kupią ze skóry, dając za złote-  
go jednego leja zamiast 25-ciu. Słyszemy zresztą najzupełniej  
sprzeczne wiadomości co do tego.

Obiad jemy w Pomorzance. Spotykam Sławka Lubiańskiego z Otwoc-  
ka, Brejnaka i Kazika Baca z Politechniki, Jerzyka Obrębskiego i dużo  
innych znajomych z widzenia z Warszawy.

Komitet na ul. Kościuszki obiecuje transport uchodźców do War-  
szawy na 5-ego października. Wróciwszy do szpitala odnajdujemy na-  
szych ludzi. Sprzedali trzy pary koni i trzy wozy za wszystkiego  
450 zł, bo konie nie miały dowodów. Pieniądze te i resztkę kasy szwa-  
dronowej rozdzieliliśmy pomiędzy wszystkich i skierowawszy ułanów  
do komitetu po kwaterę, wróciliśmy do Brzuchowic. Tu jak zwykle po-  
wtarzanie zasłyszanych wiadomości i rozkoszowanie się spokojną, ro-  
dzinną atmosferą.

Cały następny dzień spędziliśmy w Brzuchowicach. 5.X. pojecha-  
liśmy do Lwowa rozpoczynając pobyt tam od pożegnania się z naszymi  
ludźmi, którzy wyjechali z Kleparowa o 9-ej transportem na Rawę Ru-  
ską, do domów, pod Niemców. Wręczyliśmy im nasze adresy i fotogra-  
fje z prośbą o zawiadomienie rodzin o naszym położeniu, pobycie we  
Lwowie i zamiarach.

Zostajemy więc z Bronkiem tylko we dwóch. Spadł nam kłopot z  
głowy, bo o przejściu granicy w tak licznej gromadzie nie mogło być  
mowy. Staramy się teraz o jakikolwiek dokument stwierdzający naszą  
tożsamość. Poprzednio już złożyliśmy podanie o przyjęcie na Poli-  
technikę Lwowską, mamy więc stamtąd zaświadczenie o złożeniu papie-  
rów, co czyni nas studentami. Mamy poza tem odręczne zaświadczenie  
p. Profesora, że jesteśmy studentami z Warszawy, osobiście mu znane-  
mi. Kochany człowiek, tak się dla nas narażać, wypisując te wszystkie  
bzdury. Sokolniccy jednak to starzy i wypróbowani przyjaciele mojej  
rodziny, on jest kolegą mojego Tatusia jeszcze z Politechniki w Darm-  
sztacie, P. Zosia przyjaciółką mojej Zosi od czasów dzieciństwa.

Chcielibyśmy mieć coś, jakiś papier czyli jak tu się teraz mówi,  
bumagę, z fotografią. W tym celu fotografujemy się; wychodzimy jak  
skazańcy spod stryczka. Udajemy się w samą jaskinię lwa, do mili-  
cji robotniczej, ale nie przyjmują już do niej nikogo. Ochotników  
znaleźli już pełno z miejscowych szumowin.

Chodzimy po dziesiątkach urzędów, komitetów, biur i t.p., kołacze-  
my wszędzie napróżno. Spotykamy por. Remiszewskiego, którego znałem  
z Zegrza; ~~Ma~~ on już szereg pałerków i bumag rosyjskich i wybiera  
się nazajutrz na Rumunię. Chcielibyśmy iść z nim, jesteśmy jednak  
zupełnie zdezorientowani i trochę już zniechęceni. Myślimy nawet

~~4746/~~

BI 24 / A / 2

50

poważnie o jeździe następnym transportem do Warszawy. Szukamy jednak wiadomości o losie poprzedniego i o tem co nas czeka po stronie niemieckiej. Dowiadujemy się, że transport, w którym byli nasi ułani, utknął na granicy w Rawie Ruskiej, i że Niemcy nie wpuszczają nikogo na swą stronę. Z Remiszewskim nie widzimy się po raz drugi, gdzieś nam zniknął, rezygnujemy więc z niego.

Powódź najsprzeczniejszych plotek zalewa miasto. Ogonki nie zmniejszają się; najdłuższe teraz są przed składami z materiałami, bo zima idzie i każdy pragnie zaopatrzyć się w coś z ubrania. Papierosy kupujemy od przekupniów, mańkorkowe po 3 zł za setkę. Łazimy bez przerwy po biurach i konsulatach, często zachodzimy do szpitala, gdzie zawsze serdecznie się do nas odnoszą. Widzimy się tam zawsze z Danką i Marylką, witają nas z wielką sympatją, kochane dziewczęta.

Wieczorami rozmawiamy w Brzuchowicach o sytuacji, słuchamy polskich komunikatów z Londynu. Ciągle ostatnio myślę o dębnie. Warszawa podobno okropnie zniszczona, co się dzieje z moimi? Gnębi mnie ta myśl strasznie, czy przeżyli jakoś oblężenie. Przez Czerwony Krzyż posyłam kartkę z wiadomością że żyję, ale czy dojdzie? Najgorsze są chwile, gdy zgasimy już światło i przed zaśnięciem opadają człowieka myśli. Jak i czy wogóle można żyć w takich warunkach, wśród samych wrogów? Na co to przyszło naszemu krajowi? Czy będzie wreszcie jakiś koniec temu wszystkiemu? Roje najczarniejszych myśli.

Czasem do Lwowa nie jedziemy zypełnie. Wówczas kurujemy się z naszych zaziębień, czytamy książki /Zbyszewskiego: Niemcewicz od przodu i tyłu/, gramy z Zochą i Hanką w przeróżne bitwy morskie, inteligencje i t.p.

We Lwowie kiedyś poznaliśmy ~~niejakiego~~ niejakiego p. Suchorskiego, znajomego Profesora, podchorążego z kawalerii, młodego chłopaka, który też wybiera się zagranicę. Zaczynamy razem kombinować.

Trzy razy wracaliśmy ze Lwowa przez Zimną Wodę i Rudno na piechotę, bo pociągi albo wcale nie odchodzą, albo spóźniają się conajmniej dwie godziny.

Wśród takich nastrojów dojrzewa wreszcie plan wędrówki. Dłużej czekać nie warto, trzeba osobiście spróbować.

Koniec części III-ej.

Spisane z pamięci w Brzuchowicach w dn. 24.X.39.

## C Z E S C IV

W Y P R A W A .10.X.  
Wtorek

Będąc tego dnia we Lwowie dowiedzieliśmy się pocichu od por.dr.Kramera, że nazajutrz wychodzi ze Lwowa grupa ludzi zagranicę. Mając dosyć bezskutecznego kołatania, odrazu postanawiamy pójść z nimi. Kramer obiecał dać nam prowiant na drogę oraz zaświadczenie, że jesteśmy zwolnieni ze szpitala.

Wróciwszy do Brzuchowic z miejsca zaczęliśmy szykować się do drogi. Główna rzecz polegała na ukryciu pieniędzy. Zajęły się tym Zocha i Haneczka. Hanka uszyła nam z wojskowego brezentu dwa świetne plecaki, do których w dolny szew zaszyła po pięć ciasno w ruloniki zwiniętych stużłotówek. Pozatem miałem zaszyte w kołnierzu 150 zł, w patce kurtki 50 zł, resztę postanowiłem ukryć w lasce.

Dłuższy czas wierciliśmy dziury z Profesorem i Stefusiem, wreszcie udało nam się ukryć w mojej 3 setki, w Bronka, dużo cieńszej, 100 zł. Bronka miał pozaszywaną forszę w wielu miejscach w kurtce i ubraniu, wreszcie ostatnią setkę w starym wiecznym piórze.

Pełni nadzieji i dobrych myśli, zasypiamy.

11.X.  
Środa

Rano żegnamy się serdecznie i jedziemy z p.Profesorem, Zochą i Hanką pociągiem do Lwowa. Tu spotykamy się z Suchorskim, który też decyduje się iść z nami.

Ostatni dzień we Lwowie. Znowu łazimy po mieście, zaopatrujemy się w cukierki na drogę, zjadamy obiad, bardzo zresztą podły, u Teliczkowej. Na Politechnice nie spotykamy nikogo z tej grupy, ani też nie porozumiewamy się z kpt.Czaplińskim. Dostajemy jednak 4 puszki konserw, dwie flaków, 3 chleby, 1 kg.cukru w kostkach no i zaświadczenia, o których już wspomniałem.

Żegnamy się raz jeszcze z wszystkimi /Danka i Marylka mają łzy w oczach/, i o 2-iej jedziemy tramwajem na dworzec na Persenkówce.

Tu zastajemy już sporo ludzi, pociągu jeszcze nie podstawili.

Tłum rośnie; Suchorski jest ale udajemy że się nie znamy. Wygląda kapitalnie, na kompletnego chłopka.

Kupujemy bilety do Stanisławowa po 7.20 zł. Po jakimś czasie okazuje się jednak, że pociąg nasz wyrusza z Głównego i trzeba będzie się pewnie tu wpychać w tłoku. Podczas oczekiwania studjujemy kon-

stytucję sowiecką, drżemy w niemożliwie ciasnej i brudnej poczekalni wreszcie staramy się rozpoznać wśród tłumu takich jak my. Wyłuskujemy coś z 5-ciu.

Wreszcie o godz. 17-ej wjeżdża na stację nasz pociąg, zatłoczony wprost do niemożliwości. Mowy niema o wejściu do wagonu. Broniek cudem wchodzi na platformę, ja wieszam plecak na barierce a sam wieszę na stopniach, trzymając się ręką za coś. Drogocenne laski trzyma Broniek.

Po półgodzinnym postoju na Persenkówce - ruszamy. Co nas czeka?

Na moim stopniu jadę do następnej stacji, później przechodzę na bufor. Ściemniło się już zupełnie, w twarz wieje zimny wiatr...

Po kilku stacjach udaje nam się wreszcie wcisnąć do wnętrza wagonu, ciemnego oczywiście i nieopalonego, ale w każdym razie wagonu. Tłok wśródku wprost nieopisany, tak że podróż tę długo będę pamiętał.

Przysłuchujemy się rozmowom podróżnych, palimy papierosy, pożywiamy się suchym chlebem i resztką cukierków. Pociąg troszeczkę opróżnia się na mijanych stacjach ale o normalnym miejscu na ławce mowy niema.

Po czterech godzinach takiej podróży dobijamy wreszcie do Stanisławowa. Na peronie spotykamy się z Suchorskim, który jeszcze we Lwowie miał postarać się o adresy. Rzeczywiście ma i to aż dwa, Pani Pieniążkowa i p. Jasielski. Postanawiamy iść do tej pani.

Ulice już prawie puste, jest godz. 21.30, więc jeszcze tylko przez pół godziny wolno przebywać na mieście. Trudno, trzeba się kogoś spytać o drogę, bo Stanisławowa nikt z nas nie zna. Zatrzymujemy jakiegoś cywila i pytamy się o ulicę Sapieżyńską. Ten pyta się zmieszca do kogo idziemy i gorąco odradza nam zachodzić do p. Pieniążkowej. Orientujemy się, że trafiliśmy na swojego człowieka, dzięki Bogu. P. Hosowicz, takie bowiem jest jego nazwisko, proponuje przenocować nas w lokalu Sokoła. Dobra jest.

Po drodze zjadamy jeszcze na chybcika jakąś kolację i o 22.30 wchodzimy na ciemną salę, pełną przycz, gdzie śpi już sporo osób.

Po umówieniu się z p. Hosowiczem na jutro rano, kładziemy się nie rozbierając, bo sala jest zimna, nieopalona. Marznąc więc pod kurtkami, zasypiamy jednak; minął pierwszy dzień naszej wyprawy, co jutro rzyniesie?

12.X.  
Czwartek

Wstajemy o 8-ej. Wysyłamy Suchorskiego do p. Pieniążkowej z zapowiedzią zjawienia się tam w południe, a sami czekamy na p. Hosowicza. Przychodzi o 9.30. Robimy walną naradę. Zasadniczym celem naszym dotychczas były Węgry, przez Worochtę i Jasinę, bo Broniek miał tam znajomego chłopca. Pan

Hosowicz, b. sympatyczny i dobry Polak, członek zarządu miejscowego Sokoła, radzić nam niestety dużo nie mógł bo sam nie orientował się i miał sprzeczne wiadomości z pogranicza. Zostawiwszy więc plecaki u dozorca wyruszamy na miasto i pojedynczo idziemy do pani Pieniążkowej. Drogę znamy dobrze na pamięć od p. Hosowicza, który zalecał nikogo się o nic nie pytać, bo Stanisławów pełny jest agentów GPU i chodziło o zupełne niezwracanie na siebie uwagi.

Martwią nas nasze oficerskie buty, które choć u obu stare i zabłocone są wiecznie punktem kierującym podejrzliwy wzrok na siebie i na nas.

Wojska na ulicach co niemiara. Widzę bolszewicką radiostację, żołnierz siedzi na głównym siedzeniu zwykłej żółtej bryczki a aparat ustawiony na przedniej ławeczce. Woźnica ma sznury zamiast skórzanych lejców, istna komedia. Samo miasto spore, Żydów i Ukraińców z czerwonymi opaskami na rękawach pełno.

Trafiliśmy bez trudu pod wskazany adres i dzwoniemy. W domu zastajemy rozgardiasz, jakieś pakowanie się, przemeblowywanie; w pokojach masę kobiet w wieku od lat 4-ych do 80-ciu. Pani Pieniążkowa, żona dyrektora banku, jest sama po wyjeździe męża do Rumunii. Bardzo sympatyczna, odniosła się do nas z całą życzliwością i oddaniem.

Tutaj, po wielu naradach nad mapą, po rozmowie z b. inteligentnym sekretarzem banku, postanawiamy iść raczej na Rumunię, przez Kutę.

Zosia Pieniążkówna zaszyła Bronkowi do ramienia kurtki jego legitymację oficerską, kupiono dla nas kompas, wycięliśmy potrzebne części mapy z pograniczem rumuńskim i węgierskim, poczęstowano nas obiadem, a Suchorski nawet zdołał się wykąpać.

Autobus wyjeżdżał do Kut o 15-ej, więc szykujemy się do drogi. Ma jechać z nami do Kołomyży też jakiś miejscowy student aby się dowiedzieć co się stało z płk. Głowackim, mężem jednej z pań mieszkających u p.P.

Po pożegnaniu się wsiadamy do autobusu PKP Stanisławów - Kołomyża, który z niewielkim opóźnieniem o 16-ej rusza. W autobusie sami Żydzi. Przed nami jedzie identyczny drugi autobus. 8 km. przed Nadworną ten pierwszy wóz ma poważny wypadek; koło oślizguje się i prawie wpada do rowu. Autobus staje mocno pochylony opierając się o przydrożną barierę. Dzieje się to akurat na przejeździe kolejowym. Nasz autobus zatrzymuje się też oczuwście i połączone obsługi próbują coś ratować. Podkłada się deski, bale, windy, wszystko zawodzi. Noc już jest czarna, ludzie zdenerwowani. W pewnym momencie

słychać gwizd, nadjeżdża pociąg, i wszystkim się zdaje, że musi wpaść na unieruchomiony autobus. Machanie latarką, krzyki... Maszynista hamuje ostro i mijają autobusy dosłownie o centymetry. Do pociągu wsiada trochę ludzi aby kontynuować podróż do Nadwórnej przynajmniej.

Po pełnych czterech godzinach akcji ratunkowej, po kilkakrotnym zrywaniu się łańcucha udaje się wreszcie wyciągnąć pierwszy wóz z rowu i ruszamy dalej.

Odcinek Nadwórna - Kołomyja przedrzemałem; budzę się na rynku w Kołomyji, który znam z dawnych, wakacyjnych czasów. Jest godz. 23.30. Mamy znowu dwa adresy, ale razem z tym studentem, jest nas teraz aż czterech. Ja z Suchorskim mamy iść na plebańję do księdza, Broniek i student - do pani Lityńskiej. Rozstajemy się więc, umówiwszy uprzednio na ranne spotkanie.

Kieruję się na plebańję. Miasto już dawno śpi, włączy się tylko paru milicjantów, nastrój nie bardzo. Przy kościele zaczyna ujadać wściekle pies, rezygnujemy więc z gościny u księdza nie chcąc budzić całego domu i chcemy przespać się gdzieś na mieście. Pytam więc wprost jakiegoś napotkanego milicjanta - Żyda o hotel. Wskazuje nam ale niema tam nawet kawałka podłogi wolnej. Tymczasem na rynku gromadzi się trochę Żydów którzy przyjechali tym samym co my autobusem, otaczają ich milicjanci, bo już dawno po godzinie policyjnej, ale wszyscy już wiedzą o wypadku naszego wozu i przyjezdnych trzeba jakoś rozładować. Podchodzimy do tej grupy. Z miejsca zadają nam pytanie "Zwitki wy?" Wpadliśmy, myślę. Z bijącym serdem wyciągam dowód ze szpitala i mówię, że szukam tu zaginionej rodziny.

Dzięki Bogu wystarczyło, puścili nas, ale byłem już przekonany, że będzie gorzej. Aby nie wpaść znowu, korzystamy z jakiejś Żydówki, która ofiarowuje nam spanie na podłodze za 4 zł od osoby. Idziemy do niej we dwóch i jeszcze jakichś dwu pejsatych kupców.

Przez korytarz śpi oficer rosyjski mający tu swą kwaterę. Kładą nam dywan i dają brudny koc do przykrycia się, szarą z brudu poduszkę pod głowę. Wśród zapachów cebuli i czosnku - zasypiam.

W nocy budzi nas kołatanie i dzwonki do drzwi. Przeżywam okropne chwile, bo jestem pewny że to milicjanci po nas, wiedzą bowiem gdzie nocujemy. Jednak nie, to do tego oficera posłaniec.

13.X.  
Piątek

Wstajemy wcześnie. W Kołomyji jest tego dnia akurat targ na rynku, więc możemy poruszać się swobodniej, mniej zwracając na siebie uwagę w tłumie. Wojska jest niewiele, ale zato milicji żydowsko - ukraińskiej pełno. Udajemy się prosto na plebańję.



Po chwili rozmawiam z księdzem i stawiam mu sprawę otwarcie. Ma już u siebie podobnych do nas, sam czeka na wiadomości z Kut, dokąd pojechała specjalnie pewna uczennica i ma wrócić na 10-tą. Dostajemy śniadanie. Zostawiam Sucherskiego na plebanji, sam idę zobaczyć się z Bronkiem. Po drodze na mieście spotykam tego studenta, a za chwilę i Bronka. Wzięliśmy do jakiejś dziury na herbatę, a potem wracamy do proboszcza. Broniek opowiada jakiego strachu najała się pani Lityńska, gdy wczoraj o północy zapukali do niej, mieszka bowiem naprzeciwko więzienia i strażnik wszystko obserwuje.

U księdza robimy naradę, dzielimy się zasłyszaniem wiadomościami i dostajemy dwa adresy w Kutach, nauczyciela gimnazjum oraz księdza ormiańskiego Manugiewiczza. Mają oni skierować nas do niejakiej pani Kulczyckiej, która zajmuje się samym wyprawianiem za granicę. Podobno trzeba iść przez Czeramosz po pas w wodzie, ale to głupstwo. Aby tylko tam się dostać.

W oczekiwaniu na autobus mający odejść do Kut popołudniu, zapoznajemy się z trzema cywilami o takich zamiarach jak nasze, i nawet zasypiamy na chwilę.

O 15-ej odnajdujemy nasz autobus, ale odchodzi dopiero za godzinę, wstępujemy więc do jakiejś żydowskiej restauracyjki. Jemy bułki z herbatą, popijamy miodek i wysłuchujemy opowiadań jak to nasz rząd przebywał niesławnie w Kołomyży i jak Smigły 17-ego września wyjeżdżał stąd do Rumunii. Straszny niesmak budzi to w nas.

Autobus rusza. Do Kosowa podróż bez przygód, dalej przysłuchujemy się różnym opowiadaniom jakiegoś uczniaka dojeżdżającego do szkoły do Kosowa z Kut.

Autobus staje wreszcie na rynku w Kutach, jest godz. 18.30. Broniek odciąga na bok tego uczniaka, który obiecuje zaprowadzić nas do nauczyciela. Suchorski ma iść do ks. Manugiewiczza i ginie w mroku nocy. My prześlizgujemy się obok obserwującego przybyłych milicjanta i kierujemy się ulicą na lewo. Ja zostaję trochę styłu, zapalam papierosa. Na ulicach jeszcze sporo ludzi, choć już prawie ciemno. Skręcam raz jeszcze w lewo idąc jakieś 10 m. za Bronkiem, i już wydaje się, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło, gdy nagle słyszę za mną głos: „Hej tam ty, stój!”

Wołam na Bronka, gdy podchodzi do mnie milicjant, nawet bez karabinu i zadaje stałe ich pytanie "Zwitki wy?"

A więc znowu wpadka, tym razem gorzej, bo na samej prawie granicy

W dodatku mamy obaj w kieszeniach kurtek mapy, co prawda ukryte w gazecie, ale przecież gdyby je znaleźli kłapa byłaby na całego.

Milicjant nic nie chce słyszeć o żadnych tłumaczeniach i prowadzi nas na komendę milicji. Z ciężkim jak ołów sercem wchodzimy po brudnych schodach na pierwsze piętro. Bajeczki o celu przybycia tu mamy dawno ułożone, ale czy uwierzą?

Wprowadzają nas do pokoju gdzie siedzi paru Żydów. Broniek zaczyna zmniejsza opowiadać po rosyjsku pociągamy tu przyjechaliśmy, że szuka żony z trzyletnią córeczką, że opowiadali nam o przebywających podobno w Kutach uchodźcach, że chcemy coś kupić na handeł i t.p. brednie. W ten sposób uzgadniamy nasze ewentualne osobne zeznania. Komendanta niema, ale ma zaraz przyjść.

Odnoszą się do nas nawet raczej przychylnie. Mnie serce wali, bo sobie przypominam te mapy i modłę się w duchu, aby tylko nas nie rewidowali. Spoglądam na zegar, jest za pięć minut siódma. Nadchodzi jakiś starszy i od razu bierze Bronka na badanie do sąsiedniego pokoju. Zostaję sam. Szukam wzrokiem gdzieby tu podrzucić tę mapę, ale stale jest przy mnie jakiś milicjant.

Po 20-stu minutach, podczas których z za drzwi dochodzą do mnie ciągle słowa Bronka, wychodzi stamtąd jeden z badających i bardzo ostrym tonem pyta mnie pociągamy zagranicę. Zaprzeczam stanowczo i opowiadam o poszukiwaniu tu matki. Pyta się co mam w plecaku, czy mam broń i ile mam przy sobie pieniędzy. Odpowiadam na wszystko spokojnie, ale serce mi wali. Proszą mnie do drugiego pokoju gdzie komendant pisze już coś po rosyjsku przy Bronku.

Edołałem przeczytać "perepustka", a więc oddycham pełną pierśią. Już we Lwowie nauczyłem się trochę czytać alfabet rosyjski, i jak mi się to teraz przydało. Okazuje się, że żadnych uchodźców w pasie 20-stu kilometrów od granicy niema, że w bajki nasze wi docznie uwierzyli ale że musimy nazajutrz pierwszym autobusem o 6-ej rano opuścić Kutę.

Piszą więc nam przepustki, że "p. Żerański Ludwik Tadeuszowicz udaje się do Lwowa, gdzie jest zapisany już na Technikę". Data, zamaszysty podpis, pieczęć z sierpem i młotem.

Dobra nasza. Przepustki te mamy odebrać w tym biurze jutro rano przed samym odejściem autobusu. Wskazują nam jeszcze pobliski żydowski hotelik w którym mamy zanoć. Opuszczamy komendę.

Przy kolacji w małej restauracyjce wychodzi na jaw straszna rzecz: otóż Broniek, przypomniałszy sobie o tej mapie w kiesze-

ni, idąc do komendy podrzucił ją wraz z gazetą na oknie klatki schodowej, a wracając zapomniał o niej. Natychmiast idę do ustępu drę moją na kawałeczki i wyrzucam, ale teraz jeżeli ktoś z milicji znajdzie tamtą, nasza bajka wyjdzie na jaw i z miejsca nas chwycą. W strasznym więc nastroju idziemy do tego hotelu i kładziemy się spać pełni najczarniejszych myśli.

Ciągle nasłuchujemy czy ktoś nie idzie po nas. Kompas ukrywamy w bochenku chleba. A przecież mają nas w rękę, bo musimy iść do nich rano po te przepustki. W końcu, niepewni jutra, zasypiamy jednak. Trzynastka, dziś bowiem jest 13.X., a w dodatku piątek, przyniosły nam pecha. Znajdowaliśmy się o kilometr od granicy, tak już blisko celu, a tu musimy wracać jak niepyszni spowrotem. Dobrze, że tylko tak skończyła się ta awantura, mogło być znacznie gorzej. Trapi nas też myśl co stało się z Sucharskim, co będzie myślał, gdy jutro nie zjawimy się po niego; pewno jednak uda mu się, bo milicja tego wieczoru go nie zahaczyła, a ubrany jest kapitalnie. Od tego czasu nic o nim nie wjemy.

14.X.  
Sobota

Niepokój o nasz los w związku z tą mapą owładnął nami na nowo zaraz po przebudzeniu się, bardzo wczesnym. Ubieramy się. Bez śniadania, z duszą na ramieniu, idziemy do komendy po przepustki. Gazety z mapą na oknie niema. Wchodzimy w jaskinię lwa ale o dziwo, przepustki dla nas obydwóch wydają nam bez żadnej trudności.

Milicjant tylko odprowadza nas do stojącego już na rynku autobusu, mającego zaraz odejść do Kołomyji. Wielki, czerwony, warszawski Chevrolet. Pusty zupełnie. Rusza po chwili. Uff, oddychamy swobodnie po raz pierwszy od wielu, wielu godzin...

Po dwóch godzinach jazdy wysiadamy na rynku w Kołomyji i idziemy na śniadanie do Polonji. Jest sobota, żydowskie sklepy pozamykane, ruch mały. Zjadamy obfite śniadanko i ja zabieram się do studjowania konstytucji, a Broniek wali do księdza ostrzec tamtych trzech aby nie jechali na Kutry i dowiedzieć się kiedy jest autobus do Nadwórnej. Mamy bowiem nowy plan: nie udała się Rumunja, spróbujemy Węgry.

W tym celu chcemy zatrzymać się w Nadwórnej /mamy tam adres w tartaku/, znaleźć jakąś pracę, zapaść spokojnie na krótki czas, zapoznać się z terenem i ludzmi, i pewnego pięknego poranka, już na pewniaka, brykać na Węgry.

Rozmyślałam więc o tym wszystkim czekając na Bronka. Trzy razy przeczytałam Konstytucję zanim wreszcie wrócił. Autobus odchodzi

znowu raniutko, więc cały dzień wypada spędzić w Kołomyji. Zostawiamy plecaki w Polonji, a sami kierujemy się do drugiego kościoła jezuitckiego, gdzie Broniek znał już z poprzedniej bytności ojca superiora Kozłowskiego. Przychodzimy tam, rozmawiamy z o. Kozłowskim o wszystkim i radzimy się co dalej robić, którądy iść. Ksiądz daje nam adresy dwóch leśniczych w Rafajkowej, pewnych ludzi. Po obiedzie gadamy z braciškami, wreszcie zasypiamy napalwszy sobie uprzednio w piecu.

Odoczywać możemy do 17-ej, a tymczasem o. Kozłowski stara się o nocleg dla nas. Rzeczywiście znalazł, w internacie u sióstr.

Plecaki dostawia nam z restauracji pewien harcerz /aby nie włączyć się niepotrzebnie bo ulicach/, który również, gdy zupełnie już ściemniało, ostrożnie, tylnymi drogami, przeprowadza nas do tego internatu. Okropnie denerwuje nas to wieczne ukrywanie się, obawa przed każdym milicjantem, strach przed wyśledzeniem... Nerwy mamy zszarpane solidnie.

U siostrzyczek wita nas bardzo życzliwie ich przełożona, dostajemy kolację i odrazu kładziemy się spać. Właściwie był to dzień nadzwyczaj spokojny, pełen odpoczynku i snu.

15.X. Niedziela. Budzi nas siostra przed 5-tą. Wstajemy i odrazu idziemy do autobusu. Czekaemy na niego na rynku około godziny, wreszcie przychodzi. Okazuje się, że idzie do Nadwórnej okrężną drogą, aż przez Delatyn, bilet kosztuje 5.50 zł.

Do Nadwórnej dojeżdżamy bez przygód po dwóch godzinach drogi, drogi nadzwyczaj urozmaiconej krajobrazem, górami, które w pełni jesieni cudnie wyglądają. Przypominam sobie wszystkie te okolice z dawnych lat, kiedy to całą rodziną jeździliśmy tędy. Żółte, czerwone i zielone drzewa bawią wzrok, ale w jakże innych okolicznościach oglądam je teraz.

Stajemy na rynku o godz. 9-ej. Z przepustkami rosyjskimi w kieszeni czujemy się pewnie. Idziemy na dość oddalony od miasta dworzec, gdzie w bufecie dowiadujemy się, że pociąg do Stanisławowa i Lwowa odchodzi dopiero na drugi dzień o 6-ej rano. Znowu więc czeka nas cały dzień łazenia, ale właściwie szukania pracy. Przy herbacie rozmawiamy z milicjantami, którzy po sprawdzeniu przepustek /nie umieli czytać po rosyjsku i wystarczył widok pieczęci/ rozgadali się na dobre. Praca mogłaby być w tartaku, który ma właśnie ruszyć. Lituja się też nad naszym losem ~~o~~ bardzo miejscowi kolejarze, którzy kombinują dla nas pracę na stacji. Jesteśmy

obaż w dobrym nastroju. Chcemy iść do tartaku, ale milicjant proponuje zaprowadzić nas najpierw do komendy milicji, aby stamtąd dostać ewentualnie jakieś polecenie. Godzimy się na to z ochotą, pewni naszych "bumażek".

Obawiamy się, że naprawdę idziemy prowadzeni pod karabinem wyglądając jak aresztanci, ale gwiżdżemy na to. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Plecaki i laskę Bronka zostawiliśmy w urzędzie ruchu na dworcu.

Komendant milicji obejrzał starannie nasze przepustki, zrugął milicjanta, że zatrzymuje ludzi z papierami w porządku, a gdy wyjaśniliśmy mu, że chodzi nam o pracę, powiedział, że oni jej nie rozdzielają, ale żeby udać się osobiście do komitetu tartaczego. Och, żebyśmy wiedzieli...

Pogoda jest piękna, słońce grzeje, wesoło idziemy w kierunku tartaku, zadowoleni że wszystko wydaje się na dobrej drodze. W kantorze pytamy o inżyniera, ale go niema ani tu ani w domu, zresztą i tak nic już nie znaczy, tartak objęli inni. Walimy więc do komitetu robotniczego. Na drodze spotykam jego przewodniczącego, zupełnie sympatycznego starszego Ukraińca, który zaprasza nas do lokalu komitetu i wysłuchuje naszej sprawy. Mówimy, że zgubiliśmy rodziny i przed rozpoczęciem się wykładów na Politechnice Lwowskiej chcielibyśmy zarobić trochę, bo nie mamy wcale pieniędzy.

W tym momencie wchodzi do pokoju jakiś "tawariszcz" z czerwoną opaską, wysłuchuje drugi raz opowiadanej bajeczki, czyta nasze przepustki i przyglądając nam się bacznie, nagle odzywa się w te słowa najczystszą polszczyzną: Słuchajcie, ja wiem kto wy jesteście, i czego tu szukacie. Ja wam radzę wracajcie pierwszym pociągiem do Lwowa, abyście kiedyś powiedzieli, że towarzysz Gryczko był porządnym człowiekiem."

Zgłupieliśmy doszczętnie. Cóż to znaczy? Co robić? Coś tam bąkamy znowu o pracy, że skądże znowu, że naprawdę i t.p. On patrzy nam w oczy, powtarza swą radę raz jeszcze.

Głupio nam jest odejść odrazu, bo byłoby to przecież przyznanie się do kłamstwa. Tymczasem Gryczko opowiada ilu on takich już wykapał. W pewnym momencie mówi: Zresztą chodźcie za mną."

Idziemy. Woła do siebie jeszcze paru milicjantów i wprowadza nas do dużej sali pełnej szkolnych ławek.

Widzimy, że wpadliśmy na całego, z kretesem. Zaczyna się rewizja. Rewizja tak okropna, tak dokładna, że absolutnie nie nie mogłoby

być nieznanego, nie mogłoby ujść ich uwagi. Sciągają z nas kurtki i marynarki. Jedni szukają w kurtkach, inni w marynarkach, mnie obmacuje osobiście sam Gryczko. Rozbiera mnie prawie do naga i bada wprawami palcami każdy centymetr kwadratowy ubrania, swetra i bielizny. W tym momencie milicjant obszukujący moją kurtkę wyciągnął z jej patki 50 zł. Triumfują wśród okrzyków. Teraz co chwila to z kurtki Bronka to z mojej wyjmują z radością pieniądze. Chodzi im jednak głównie o przepustki na Rumunję.

Gryczko co chwila odzywa się: "wolno, spakujcie, szukajcie dokładnie a napewno znajdziecie; wczoraj 20 razy szukaliśmy bez skutku, a za 21-y znaleźliśmy; brzuchy wam rozprujemy a znajdziemy, ja mam praktykę, mną polska wasza policja rewidowała nieraz..."

Grozi rozstrzelaniem o ile się nie przyznamy, za przyznanie się obiecuje darowanie pół kary.

Przybici jesteśmy okropnie. Siedzimy w bieliźnie daleko od siebie, nie możemy się absolutnie porozumieć, bo każdy nasz ruch jest na rozkaz Gryczki obserwowany przez specjalnych, stojących nad nami ludźmi z karabinami.

W pewnym momencie z olbrzymim tryumfem wyciągają z ramienia kurtki Bronka jego legitymację oficerską. Uragania niema końca, szczególnie jak przeczytali że ma medal za wojnę bolszewicką. Teraz pogardliwym tonem zwracają się do niego per "poruczniku". Wyciągnęli wszystko, pudełka od zapalek przewracali na lewą stronę, śmiali się z medalików, ale oczywiście upragnionych przepustek nie znaleźli, bo ich nie było.

Teraz kazali mi się ubrać i jeden z milicjantów poprowadził mnie na stację po plecaki. Po drodze wdałem się z nim w rozmowę; akurat przed wojną wrócił z więzienia po dwóch latach siedzenia za komunizm. Trzeba jednak przyznać, że raczej litował się nad nami. Przyznałem się jemu, że w plecakach mamy po 500 zł, bo i tak by znaleźli.

Na stacji nasi przyjaciele kolejarze bardzo się zdziwili, ale zabrałem szybko plecaki /laskę Bronka zostawiłem/ i nic nie rozmawiałem.

Najwięcej tych Ukraińców denerwowało, że szukaliśmy pracy mając "tyle" pieniędzy. Gdy wróciłem z plecakami zaczęło się przewracanie w nich i dokładna rewizja zawartości. Kompas w chlebie znaleźli z miejsca.

Okropne chwile przeżywałem wewnątrz w czasie tej rewizji. Uświadamiałem sobie dokładnie co nas może czekać, że to już koniec

naszych planów, a może i wszystkiego wogóle. Słowem żadnym nie wierzyli, przysięg nie uznają.

Zadzwonili po samochód. Przyjechał koło drugiej w południe, wielki, ciężarowy. Trzeba przyznać, że nie ukradli nic, rozdzielili nasze rzeczy od siebie starannie, drobiazgi osobno Bronka, osobno moje zawinęli w węzełki z chusteczek, plecaki spakowałem byle jak i załadowaliśmy się na samochód. Moją laskę z 300 zł wewnątrz kazali zostawić, "że na nic mi ona już, bo będę siedział a nie chodził", ale do tego czasu pieniędzy w niej nie znaleźli.

Zawieźli nas w eskorcie sześciu milicjantów na komendę, gdzieśmy przecież parę godzin temu byli. Komendant bardzo się na nasz widok zdziwił, przejrzał czy jest wszystko, oglądał fotografie, a widząc u Bronka jakieś słowa napisane przez jego znajomą na zdjęciu, śmiejąc się, rzekł: "młodzi jeszcze jesteście".

Z komendy zaprowadzili nas do pobliskiego budynku, gdzie mieliśmy być badani, ale "tawariszcz kamandir" był na obiedzie, więc wypadało czekać. Siedliśmy w przedpokoju na trzcinowej kanapie obok siebie i wdaliśmy się w rozmowę z milicjantem, tym samym z którym chodziłem na stację. Wprawdzie Gryczko zabronił mu rozmawiać z nami, i pilnować abyśmy bze sobą się nie porozumiewali, ale naszym starym systemem "opowiadania" umówiliśmy się pośrednio dokładnie co do zeznań.

Rozboliła mnie głowa, nerwy mam roztrzęsione... Orientujemy się, że jesteśmy w GPU. Dobrze, że palić pozwolono, ćmimy więc papierosy jeden za drugim.

Wreszcie przychodzą z obiadu, trzech oficerów w zielonych czapkach, twarze straszliwe, katowskie. Jestem pewny, że będą męczyć przy zeznaniach. Biorą najpierw mnie; mówię odrazu, że po rosyjsku nie umiem, co wzbudza w nich straszny gniew i złość. "My znamy tę waszą szkołę szpiegów; pogadamy z wami po naszymu, to zobaczycie." Gryczko, który nas nie odstępował nawet tutaj, wtrąca się, że "tamten /t.zn. Bronka/ gawaril pa ruski", więc ja wracam na kanapkę, a biorą Bronka i zamykają za nim szczelnie drzwi. Drzę cały, bo co chwila dochodzą mnie z wnętrza gabinetu krzyki.

Ruch panuje w urzędzie spory, ciągle wchodzi i wychodzi, w pewnym momencie kilku żołnierzy na korytarzu ładuje karabiny. Trudno opisać co przeżyłem w tych chwilach. W duchu co chwila powtarzam Pod Twoją Obronę, i składam wszystko w ręce Boga.

Po pół godzinie drzwi z trzaskiem się otwierają i wyprowadzają

Bronka. Nigdy nie widziałem go tak bladego, przybitego i zmaltretowanego. Myślę że teraz na mnie kolej, ale nie, prowadzą nas obydwóch do innego budynku, kilkadziesiąt metrów stąd. Broniek złamanym głosem mówi: "Aleśmy wpadli. Musiałem przyznać się do chęci przejścia granicy, ale ty o niczym takim nie wiedziałeś, o żadnych moich planach, więc tak zeznawaj jak dawniej". W podwórzu domu, dokąd nas biorą widzimy domek z napisem "więzienie", a sam budynek jest jest dawnym polskim sądem i tu urzęduje obecnie bolszewicka prokuratura.

Usiadłszy na podłodze w korytarzu czekamy na nowe badania. Złamany jestem kompletnie i pragnę wreszcie żeby już raz zamknęli mnie w celi, aby tylko mieć spokój. Nadchodzi jakiś major i z miejsca bierze mnie do swego gabinetu.

Bada dokumenty, tłumaczę mu zaświadczenie p. Profesora. Nie możemy porozumieć się ile miałem ostatecznie pieniędzy, wreszcie piszę na świstku papieru że 700. "Ach, simsot". Pyta co tu w Nadwórnej robię i dlaczego chciałem iść zagranicę. Zaprzeczam temu gorąco, mówię, że nie wiedziałem, że Rybiński miał taki zamiar, że znam się z nim bardzo krótko, że szukam naprawdę rodziny i t.d.

Badał mnie bardzo spokojnie, był kompletnie łysy, wywarł nawet dość sympatyczne wrażenie, jeżeli można tu mówić o jakiegokolwiek "sympatji". Niczem nie straszyl, powtarzał tylko bez końca "da, da", po jakimś kwadransie zwolnił mnie. Wyszedłem na korytarz, Broniek skończył wchodzić do środka. W tej chwili widziałem go po raz ostatni.

Mnie zabrał strażnik i zaprowadził do więziennego budynku. Klucznika chwilowo nie było, więc muszę czekać w ciepłej kuchni więziennej, oczywiście pod strażą. Pozwalają mi naładować papierośnicę, tę srebrną papierośnicę, którą parę lat temu dostałem od Rodziców na imieniny i która aż dotąd tyle przeszła ze mną. Biorę też z plecaka cukier w kostkach. Jestem bardzo głodny, nic jeszcze dzisiaj nie miałem w ustach. Obecni w kuchni bolszewiczcy żołnierze gwiżdżą piosenkę z filmu Świat się śmieje, który grali kiedyś w Warszawie i znam ją bardzo dobrze, przychodzą mi nawet na pamięć słowa jej: "Dlaczego w oczach tęsknotę i smutek masz"; mówię im i że ja to znam, a nawet próbuję zagwizdać i ja razem z nimi. Jakieś dziwne odprężenie przychodzi na mnie, odzyskuję jakoś równowagę, cieszę się poprostu na celę.

Po chwili obmacują mnie raz jeszcze, czy nie mam czego metalowego, zostawiają jedynie papierośnicę i chustkę do nosa. Wyprowadzają na korytarz, otwierają drzwi celi nr.4 i wpychają do środka. Drzwi, ciężkie, żelazne, zamykają się za mną, klucz zgrzyta w zamku. Jestem



w więzieniu.

Zastaję tu pełno ludzi. Podchodzę do każdego pokolei i przedstawiam się./Nigdy nie byłem dotychczas w celi więziennej i nie wiem czy takie zwyczaje tu obowiązują/. Orientuję się,co szybko potwierdza się w rozmowie,że cela dzieli się na dwie strony,polską i ukraińską. Rozbieram się,wieszam kurtkę na wieszaku i kładę się na pryczy,oczywiście po polskiej stronie. Rozmawiam z jakimś "więźniem" w spodniach i butach wojskowych a górze cywilnej.

Pytają mnie wszyscy,za co mnie złapali,za co siedzę. Odpowiadam że za "szukanie rodziny",i wzbudza to ogólną radość. Okazuje się że zawsze wszyscy tak się tłumaczą. Naprawdę musi wydawać się dziwne iluż to ludzi szuka nagle rodziny w Kutach i Worochcie.

Rozglądam się po celi. Jest to izba mniejwięcej 5mx5m,w górze dwa zakratowane okna.Wzdłuż ścian dwie prycze z siennikami i kocami. Pośrodku stół. W kącie wieszadło. W drugim rogu mieści się,jak mnie informują "łazienka" czyli kubeł zasłonięty paroma deskami.

Moi współtowarzysze: pięciu Polaków,z czego trzech uczniów /jeden kadet,Konopka/ w wieku lat 17-tu,ze Lwowa; ten o którym już wspomniałem,st.szer.,szofer i niejaki p.Skonieczny z Warszawy,wojskowy,twarz inteligentna. Ukraińcy to chłopci z Rusi Zakarpackiej, którzy uciekli bo ich tam podobno Węgrzy bili i chcieli dostać się do raju bolszewickiego. Dostali się prosto do paki.

Nastrój w celi jest,co tu dużo mówić,wesoły. Ciepło choć okna otwarte,tylko fetor straszliwy dolatuje z "łazienki".

Częstuję wszystkich kostkami cukru. Wdaję się w rozmowę; dowiaduję się,że jedzenie jest raczej znośne,że specjalnego głodu niema, że często wołają na badania i t.d. Z przyjemnością wyciągam się na pryczy,opowiadałam swoje dzieje.

Klucz zgrzyta w zamku,kolacja. Wszyscy rzucają się po menażki. Dają nam trochę zupy i kawał chleba; zjadam to z apetytem choć zupa świństwo pierwszorzędne ale przecież nic od rana nie jadłem. Za chwilę - apel. Ustawiamy się w dwuszeregu, "starszy celi",najgłupszy z Ukraińców na prawym skrzydle. Każdy na dźwięk swego nazwiska odpowiada "ja". Potem spanie. Przedtem kolejka do "łazienki", gdzie panuje podobno chroniczny brak papieru gazetowego. Rozbieramy się,włazimy pod koce i gawędzę jeszcze ze Skoniecznym o tem co nas czeka.

Wszyscy przebyli już szereg badań, dosyć spokojnych, ale ciągle o to samo ich pytają za każdym razem. Podpisywali już nawet jakieś swoje zeznania. Uczniacy są bardzo sympatyczni, weseli, nie przejmują się niczem. Zapowiadają na noc polowania na pluskwy, pchły i wszy, których w celi podobno pełno, a o prawdziwości czego świadczą gęste ślady na ścianach i suficie.

Ja odpoczywam nerwowo, jest mi tu o dziwo dobrze. Co za psychica na reakcja. W zaśnięciu przeszkadz bardzo lampa paląca się całą noc i co pewien czas ruch przy drzwiach i szczepek odsuwanej judassa, przez który strażnik zagląda do celi.

Powoli zbieram myśli i wrażenia z tego straszliwego dnia. Wpadliśmy, niema co mówić, na całego; teraz chodzi o to co nam grozi, co z nami zrobią? Dużo myślę o Bronku, który siedzi naprzeciwko, w celi nr.3. Myślę o domu, o wszystkich kochanych, czy i kiedy ich zobaczę. Czy przeczuwają jakimś cudownym sposobem co się ze mną w tej chwili dzieje? Układam sobie dokładnie w myślach co będę zeznawać na badaniach, wyłapuję wszystkie nieścisłości i niekonsekwencje, staram się uzgodnić daty wyjścia z Warszawy, pobyt w szpitalu, wyruszenia ze Lwowa i t.p. Staram się przewidzieć wszystkie ich możliwe pytania i zgóry układam na nie odpowiedzi, aby później nie spieszyć się...

Już prawie zasypiam gdy dzwi otwierają się nagle i staje w nich strażnik. Jestem pewny że to po mnie, ale nie; "Skonieczny, ubieraj się, szybko, szybko". Skonieczny wstaje i żegnany wzrokiem wszystkich, wychodzi. Nie mogę znowu zasnąć, czekam na niego. Jest najsympatyczniejszy ze wszystkich, podejrzewam w nim oficera, ale on przyznaje się tylko do starszego sapersa z bataljonu mostowego. Napewno buja. On też oczywiście nie wierzy w to co ja mu mówię, że w wojsku nigdy nie byłem, bo zawsze brałem odroczenia na studia. Muszę uważać i naogół staram się mało mówić. Nigdy nie wiadomo. To nasza z Bronkiem stara zasada samemu mało mówić a innych wyciągać na język.

Po godzinie wraca Skonieczny. Znowu go wypytywali ab ovo, znowu podpisał jakieś zeznania. Rozmawiamy jeszcze chwilę i wreszcie, otuleni jednym kocem, zasypiamy.

16.X.  
Poniedz.

Budziłem się w nocy kilka razy, bo sytuacja, a właściwie myśl o niej, spać spokojnie nie pozwalała. Poza to chrapanie chłopków na tamtej przycy i jasno paląca się żarówka też nie mogły przyczynić się do dobrego snu. Zegarka nikt nie ma, więc nie wiem o której profes zarządził pobudkę. Za

chwile wyprowadzają po czterech do umywalni. Kapral, moskal, na moją prośbę przyniósł mi ręcznik z plecaka, który schowany jest w jakiejś komórce. Rzeczy moje i Bronka pomieszczone są między dwa plecaki i nie wiem dokładnie co mam w swoim.

Potem śniadanie, znowu zupa bardzo niepewnego pochodzenia i chleb.

Biorą na badania kadeta Konopkę. Po powrocie opowiada, że podpisał już ostatecznie zeznania, że powiedzieli mu co go czeka; ma jechać do Stanisławowa na sprawę sądową, po której zostanie skazany z paragrafu 16-ego, punkt 80-ty, na rok pracy przymusowej w Rosji. To samo powtarza się z resztą uczni i szeregowcem Mileszkiewiczem. Ładna więc perspektywa, to samo mnie grozi. Całe szczęście, że nie wiedzą iż jestem oficerem, to udało mi się ukryć napewno przed nimi, a nawet ja już sam w to uwierzyłem.

Męczy mnie myśl o Bronku, co z nim zrobią. Do idei pracy w Rosji zaczynam się przyzwyczajać, cóż pozostaje mi innego. Cały czas leżymy wszyscy na pryczach, ugadujemy się ze Skoniecznym. Co chwila wpychają do naszej celi nowego towarzysza, bo okazuje się, że przyszła do Nadwórnej nowa partja złapanych koło Worochty. Jest między nimi jakiś podchorąży, paru Ukraińców z Rusi Zakarpackiej, jakiś student Czech o nazwisku Prchala i inni.

Nazewnątrz jest piękna pogoda, słońce świeci i u nas na ścianie kraty rzucają charakterystyczny, więzienny cień, stary motyw filmowy. Jakże oklepany jest w filmach motyw człowieka syojącego przy oknie, ręce na kratkach, wzrok zwrócony ku niebu. Widok ten obserwuję tu stale. Za oknem jest płot, nic ciekawego nie widać, ale tęsknota do swobody siedzi w nas głęboko. Jesteśmy jak ptaki w klatce. Myślę o domu, Baśce, czy wyobrażają sobie w tej chwili że znajdują się w więzieniu.

Na korytarzu ciągły ruch. Profosem jest milicjant - Żyd, więc można rozmawiać z nim po polsku. Prosimy go ciągle o papierosy z plecaka, wodę do picia, miotkę do zamiatania... Naogół prośby spełniają. Gwizdać zato nie wolno. Dlaczego?

Trzeba przyznać, że nasza cela jest uprzywilejowana, siedzi w niej sama młodzież i odnoszą się do nas lepiej niż do innych więźniów. Jest nam nawet wesoło; sporo śmiechu, kawałów; co rósł to zamkną któregoś w "łazience" i nie może się wydostać. Czego brak, to zapalek. Organizujemy więc kolejkę, palić wolno tylko pojedynczo, przypala jeden od drugiego, kończącego już papierosa, tak że jedna zapalka wystarcza na kilkanaście "fajek".

Główny temat rozmów to oczywiście dalszy los, a pozatem dotychczasowe przeżycia.

Obiad: kasza jaglana i chleb. Cały czas leżę, bo jest nas już tu tylu ludzi, że nie można inaczej uchronić miejsca na pryczy przed zajęciem. Gdy wstanę na chwilę by rozruszać nogi, czuję zawrót w głowie. Można w celi zrobić 7 kroków, więc spacery są raczej niedługie.

Niecierpliwie czekam na wywołanie mego nazwiska i aby pójść na badanie. Każdy zgrzyt klucza w zamku zrywamy się wszyscy, na kogo kolej? Ale jakoś zapominają o mnie. Tamtych pięciu już ma wszystko gotowe do wyjazdu. Żałuję, że nie zdążę pojechać z nimi bo są wszyscy sympatyczni i wśród znajomych lepiej się człowiek czuje.

Tak mija popołudnie, cień kraty dawno zniknął, robi się ciemno na zewnątrz a my ciągle leżymy. Odpoczywam fizycznie doskonale. Wieczorem przychodzi kapral i wypisuje każdemu kartę więzienną. A więc imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia, zawód, co robił ostatnio, czy należy się do jakiej partji politycznej i datę aresztowania. Porządek musi być. Pozatem jestem też już wpisany do x książek więziennych, wszędzie jako Ludwik Tadeuszowicz. Śmiech budzi zawsze ich pytanie "zawód". Każdy podaje na to fach, a im chodzi w tym wypadku o imię. Widocznie jakieś językowe niuanse.

W celi jest bardzo gęsto. Wczoraj było akurat pełno z nami jedy-nastoma, dziś jest 23ch. Po capstrzyku układamy się do snu. Prycze zapełnione do ostateczności, można leżeć jedynie na boku. Uczniowie śpią na ławce i dwóch na stole. Brudna, zanieczyszczona podłoga to leże dla Ukraińców. Ciężko jest spać, smród i zaduch niesamowity.

Co chwila wywołują na badania. Najwięcej męczą jednego z tych Ukraińców z Rusi Węgierskiej, niejakiego Wołka, bo podejrzewają go o szpiegostwo.

O 11-ej wieczorem wpuszczają nowego lokatora. Jest nim inteligentny, szpakowaty pan Sokołowski, którego aresztowali wraz z 17-to letnim synem. Pochodzi z Warszawy więc ugaduję się z nim przez dłuższy czas. Mówi że nie był w wojsku, ale mu oczywiście nie wierzę. Cieszę się, bo po wyjeździe pierwszych pięciu /mają jutro o 11-ej jechać do Stanisławowa/, będę miał towarzysza. Wreszcie przytulam się do kurtki zastępującej poduszkę i myśląc o tylu, tylu najroz-maitszych rzeczach, badaniach, pracy przyszłej w Rosji, domu i wszystkich przyjaciółkach - zasypiam.

17.X.  
Wrorek

Spałem jeszcze gorzej niż wczoraj. Przez całą noc wywoływali na przesłuchania. Rano normalna pobudka, mycie się, porządkowanie w celi, śniadanie.

Nasz "starszy", za ten cukier co go częstowałem wraz z wszystkimi innymi, widocznie chciał się "odwdziżyć" i kazał mi oraz Skoniecznemu opróżnić "łazienkę", akurat niemożliwie pełną. Całe ręce ubabraliśmy sobie po łokcie, już, już miałem wymiotować. Ale nic to. Potem brali na ochotnika do robót, wymiatania błota z podwórza. Nieposzedłem, choć świeże powietrze dobrze by mi zrobiło.

Rozmawiamy znowu o wszystkim i niczym, śpiewamy nawet nasz "hymn" "Sing, sing, sing, to więzienna serenada" na nutę oślej serenady. Interesuje mnie ten Czech Prchala, wydaje się jakiś tajemniczy, ale wygląda na morowego chłopaka. Ciągłe czekanie na badanie, denerwuje się, stale układam w myśli co mam zeznawać. Namysłam się czyby czasem nie przyznać się do chęci przejścia granicy, bo wiem co już za to grozi. U Skoniecznego znaleźli wizę rumuńską a ma dostac też tylko rok pracy.

Znowu stale leżymy na pryczach, znowu cień kraty wędruje po ścianie... Profos na mą prośbę przynosi mi 20 moich własnych mahnorkowych i mówi że to na pięć dni. Ładna historia. Dobrze, że przynajmniej Sokołowskiemu nie odebrali jakoś zapalek, mamy więc całe pudełko.

Obiad, zupa i chleb postaremu.

Wreszcie, najzupełniej niespodziewanie, tak koło godziny 1-ej w południe, gdy ~~leżymy~~ <sup>rozmawiamy</sup> ze Skoniecznym i Sokołowskim o czymś tam, zgrzyta klucz w zamku, drzwi się otwierają, staje w nich kapral i charakterystycznie z rosyjska mówi "Żerański". Zrywam się z pryczy, i chcę iść jak stoję /serce mi zaczyna walić/, a on mówi: "Wsio zabieraj, wsio, wsio. Ubieraj się całkiem." Zdenerwowanymi ruchami ubieram się, biorę kurtkę, szalik i widząc, że tu nie wrócę żegnam wszystkich jedynym ogólnym "czołem".

Idę za kapralem. Co to znaczy? Widać, że przenoszą mnie gdzieś indziej chyba. Wprowadza mnie na korytarz sądu gdzie ostatni raz widziałem parę dni temu Bronka. Oprócz mnie zabrał też z celi tego Czecha Prchalę. Czekamy obaj chwilę, aż nadchodzi dwóch oficerów, kapitan i major. Prchalę zabiera major do innego pokoju, a mnie kapitan tam, gdzie już raz mnie badał.

Prosi siadać naprzeciwko biurka i z miejsca mówi: "No da, my was tak i zwalniamy. Jesteście wolny, panimajecie?"

Nie rozumiem o co mu chodzi, bo przecież nie mogę uwierzyć w to co powiedział. Powtarza raz jeszcze "my was zwalniamy", bierze węż-

łek z mojami drobiazgami, rozwiązuje go, i każe mi sprawdzić czy jest wszystko, czy czasem nic nie brakuje. Mówię ile było pieniędzy, każe mi przeliczyć i zgadza się. Ogląda długo zegarek, pióro wieczne, ołówek... Zatrzymuje się na medaliku, który ze łzami w oczach Mamusia zawiesiła mi na szyi, gdy żegnałem się wychodząc z domu przeszło półtora miesiąca temu. "A eto szto?" "Boh"- odpowiadam. "To wy jeszcze wierzycie w Boha? - mówi z ironicznym uśmiechem-.Przestaniecie, przestaniecie..." Ma minę bardzo wesołą, jest jakby czemś ubawiony. Powoli zaczynam naprawdę wierzyć, że będę niedługo wolny. Podpisałem oświadczenie, że "odebrałem wszystko co mi przy rewizji odebrano w porządku". Zaczyna się pouczenie, że powinienem zaraz wracać do Lwowa, że powinienem uczyć się tam pilnie, /moje fałszywe papiery zadziałały niewąsko/, bo muszę niedługo pomagać im w walce z kapitalizmem, z burżujami i tym podobne brednie. Na jeszcze przedtem postawione pytanie dlaczego nie mam wesołej miny, mówię, że trochę nie wierzę w tę wolność. Oburzył się na to towarzyszczy komandir. "O to nie dobrze! Bolszewikom trzeba wierzyć".

Naprawdę więc zwalniam mnie, ale dlaczego? Rozmawiamy jeszcze z kapitanem o pomieszanych moich i Bronka rzeczach, pozwala mi je rozdzielić. Z uśmiechem żegnamy się.

O dziwo, już nie pod karabinem prowadzą mnie do skrytki z plecakami, wyjmuję Bronka i mój. Wyrzucam wszystko na podłogę i rozdzielam. Zostawiam mu większość bielizny, konserw i papierosów. Chininę, proszę aby wręczyli jednemu choremu w naszej celi nr.4. Są teraz bardzo dla mnie grzeczni. Trochę nie wiem co z sobą teraz robić, bo pociąg odchodzi dopiero nazajutrz rano, ale grunt, że jestem wolny, w o l n y .

Chciałbym opowiedzieć o tem co mnie spotkało towarzyszom z celi, nie pozwalają na to jednak. Pytam o Rybińskiego. "A Rybińskij, on oficer, on budet siediet". To jedyna czarna plama na tych jasnych momentach tego dnia. Trudno, nie już Bronkowi nie pomogę. Biedny. Musimy się rozstać. Czy go jeszcze kiedy w życiu zobaczę?

Nagle kapral pyta się mnie "a wasza pałka kuda?" Przecież on nie o lasce nie wiedział, została w tartaku, więc orientuję się, że znaleźli w niej te pieniądze, może więc i te mi zwrócą. Odpowiadam, że została w tartaku. "A co w niej mieliście?" "Pieniądze". "No to poszedł po nią starszy - mówi kapral. Cieszę się na to i słyszę z rozmów, iż wiedzą, że było tam 300 zł.

Ale jednak nie można żądać za dużo od losu. Straciłem te pienią-

dze /pewnie podzielili się temi setkami, albo Gryczko zarobił tak jak za Skoniecznego, za złapanie którego otrzymał 50 zł i pare kilo cukru i słoniny, bo po jakimś czasie kapral wyprowadził mnie do furtki i mówi: "No, jesteście wolni, idźcie gdzie chcecie."

A więc to prawda, najprawdziwsza prawda. Jestem na wolności. Wypuścili mnie. Czy to nie wygląda na cud?

Jest godzina 2-ga po południu. Nogi chwieją się podę mną ze wzruszenia, nie wiem co robić z radości, w którą stronę biec? Podejrzewam, że mnie ktoś śledzi, ale nie widzę nikogo. Chciałbym spotkać Prchalę, razem byłoby raźniej. Ruszam na prawo ulicą, kieruję się na rynek, wstępuję do małej restauracyjki. Zjadam obiad nawet bez specjalnego apetytu, bo nie chce mi się myśleć o jedzeniu. Biję się bez przerwy z myślami co to ma znaczyć że mnie puścili, dlaczego, dzięki czemu? I tak właściwie bez badania. Czy to nie jakiś bolszewicki trick? Zwrócili mi jednak wszystkie papiery. Przychodzi mi na myśl, że przecież nie mam żadnego zaświadczenia o zwolnieniu więc jestem w identycznej sytuacji jak poprzednio, znowu byle milicjant może mnie haczyć i zaaresztować. Idę więc na komendę milicji i proszę komendanta o byle kartkę. Zdziwił się trochę na mój widok, że jestem na wolności, ale bumażki żadnej dać nie chciał. Orientuję się, że rzeczywiście nie mogą mi dać zaświadczenia, boby musieli napisać że jestem niewinny, a to jest im niewygodne. Rezygnuję więc i zostawiwszy plecak w żydowskim hoteliku gdzie miałem zamiar przenocować udaję się na miasto kupić coś do Bruchowic. Znajduję trochę kiełbasy, pozatem ani cukru ani masła nigdzie nie mają. Sklepiki prawie puste. Kupuję sobie jakichś wafli i gruszek.

Teraz dla odmiany nic, tyłkobyłm jadł. Widocznie apetytem objawia się u mnie odzyskanie wolności. Wstępuję do bardzo przyjemnej pustej cukierenki Partyki. Wypijam szklankę herbaty i zjadam cztery ciastka. Włóczę się dalej po ulicach, nie wiedząc co z sobą robić do wieczora, bo jest dopiero 4.30. Zauważam polski hotel, wstępuję tam i pytam czy mają wolny pokój. Raptem łapie mnie ktoś ztyłu. Oglądam się - Prchala. Ucieszyłem się strasznie, co za radość spotkać kogoś bliskiego z ... więzienia. Jadł w tym hotelu obiad i okazuje się, żeż myślał o mnie, jakby mnie odnaleźć; no i znaleźliśmy się.

Zaczęliśmy rozmawiać i od tej chwili rozpoczął wtajemniczać mnie w swe zajęcie, w swą prawdziwą historię. Jest on synem generała czeskiego Prchali organizującego w Czechosłowacji przyszłą

walkę z Niemcami. Ma przy sobie bardzo ważne dokumenty z którymi musi przedostać się na Węgry. To prawdziwy cud, mówi, że go puścili i oddali nawet parę sztabek czystego złota, które przy nim znaleźli. Był pewny kuli w łeb.

Dostaliśmy w tym polskim hotelu wspólny pokój, odebrałem więc plecak od Żyda, co mnie kosztowało złotówkę, i poszliśmy we dwóch na miasto. Czas szybko mijał na rozmowach politycznych i na temat radości z powodu wypuszczenia. Rozmawialiśmy po polsku, bo Prchala całkiem dobrze zna polski. Ma dopiero 19-cie lat, bardzo dzielny i sprytny chłopak. Oblatany już w tajnej robocie, wtajemniczył mnie w wiele spraw. Myślałem nawet, iż jest trochę nieostrożny, bądź co bądź nieznanemu takie rzeczy opowiadać.

Zamiast na kolację, poszliśmy znowu do Partyki na ciastka. Herbata i po kilka do stolika. Chcemy się położyć wcześniej, aby przyjąć do równowagi, bo stale obaj jesteśmy radośnie podnieceni. Wracamy więc i chociaż dopiero wpół do ósmej, kładziemy się do łóżek. Rozmawiamy jeszcze o wspólnej doli Polski i Czechosłowacji, o wojnie, o przyszłości, o przyszłej entencie naszych krajów, wreszcie o 8-ej życzymy sobie dobrej nocy. Co za rozkosz wyciągnąć się na łóżku i nie czuć smrodu "łazienki".

18.X.  
Środa

Budzimy się o 5-ej. Pociąg odchodzi o 6.30, wstajemy więc po chwili i ubieramy się. Bez śniadania idziemy na stację.

Bez żalu żegnam wzrokiem ulicę Nadwórnej, pustej o tej wczesnej porze. Pamiętać tę dziurę będę przez całe życie chyba.

Na stacji już tłok, bo pociąg odchodzi stąd tylko raz dziennie. Prchala staje w ogonku po bilety, a ja zjadam coś na prędcie w pamiętnym bufecie, poczem idę do kolejarzy, bo chcę spróbować odebrać łaskę Bronka, która u nich została i nikt z milicji o niej nie wiedział. Poczciwi ludzie ci urzędnicy na stacji, poznają mnie oczywiście, dziwią się naszym przygodom, żałują bardzo Bronka, łaskę otrzymuję bez żadnej trudności nietkniętą.

Bilety mamy prosto do Lwowa. Pociąg przyjeżdża, wsiadamy. W przedziale siedzą już trzy uczennice, wcale przystojne młode Żydóweczki. Jesteśmy z Prchalą w świetnych humorach, przekomarzamy się z nimi. Wchodzi milicjant, sprawdza dokumenty, wszystko w porządku tym razem. Pociąg rusza. Żegnaj niegościnna Nadwórno. Żydóweczki wysiadają po godzinie w Stanisławowie. My też musimy się tu przesiąść do lwowskiego pociągu, który niebawem ma odjechać.



Rzeczywiście po chwili ruszamy. W ogólnym przedziale tłok, ale mamy miejsca siedzące. Naokoło sami Żydzi, tylko obok mnie jeden Polak. W cichej rozmowie dowiaduję się, że jest podoficerem zawodowym z 4-ego pułku strzelców podchalańskich z Cieszyna. Pytam o Ryskę, zna ją, zna również Andrzeja Starorypińskiego, Dubickiego i innych cieszyńiaków. Przejemnie jest spotkać kogoś, z kim ma się wspólnych znajomych. Opowiada o swoich walkach, gadamy o polityce i przyszłości kraju. Z Prchalą na wiadome tematy już nie rozmawiamy, bo trzeba być bardzo ostrożnym. Żydzi szwargocą okropnie, aż uszy puchną.

Zaraz za Haliczem, w Bursztynie, wysiada Prchala. Żegnamy się bardzo serdecznie, życząc sobie spotkania na zachodnim froncie, w walce z Niemcami. Przypadliśmy sobie wzajemnie do gustu, bardzo miły chłopak.

O 2-ej dojeżdżamy do Lwowa. A więc jestem tu spowrotem, po tygodniu pechowej wyprawy, i to niestety sam, bez Bronka.

Z dworca idę prosto na Politechnikę, widzę się z dr. Kramerem, któremu obiecuję dać cenne informacje z pogranicza. Teraz jednak spieszę się na pociąg do Bruchowic, na 3.35. Wsiadam do niego, czekam, bo oczywiście jak zwykle spóźnia się z odjazdem. Wreszcie po 4-ej rusza, szczęściem już nam nie daleko do "domu".

Na stacji w Bruchowicach natykam się na Profesora. Opowiadam pokrótce dzieje tygodnia. Dochodzimy do domu. Witam się ze wszystkimi i opowiadaniom niema końca.

Tak zakończyła się wyprawa "do Rumunii lub Węgier". Stwierdziłem osobiście i boleśnie, że w danych dniach przejść granicę było prawie niemożliwością. Dziesiątki milicjantów na dworcach przy autobusach i na ulicach zatrzymywało każdą obcą sobie osobę, i czy miał ktoś papiery w porządku czy nie, wszystko jedno, wpadał. Szansę przekroczenia granicy w koncu października oceniam na maksimum 10 % i to przy omijaniu miasteczek.

Koniec części IV-ej.

Spisane z pamięci w dn. 25-27.X.39 r.

CZESC V.  
CZEKANIE.

19 październik - 4 listopad 1939.

Następny dzień po powrocie przeznaczyłem na gruntowny odpoczynek fizyczny i nerwowy. Miałem wprawdzie jechać do Lwowa, ale odłożyłem to na piątek, bo chciałem trochę odsapnąć w spokoju. Ciągłe gnębi mnie myśl dlaczego właściwie mnie puścili; absolutnie nie umiem na to sobie odpowiedzieć.

Rano zameldowałem się w gminie brzechowickiej, byłem też u fryzjera, który doprowadził trochę do porządku moją głowę. Gdybym mógł przewidzieć co z tego wyniknie i na co narazi mnie ten drań.

Skończyłem czytać Zbyszewskiego o Niemcewiczu, doskonała książka.

20.X. pojechałem do Lwowa, był to piątek. Miałem parę spraw do załatwienia, m.inn. po naszym wyjeździe na wyprawę zgłosiła się do Profesora niejaka p. Wanda Buszczyńska, dobra znajoma Bronka, teraz pracująca w szpitalu na Technice jako pielęgniarka. Musiałem się więc z nią zobaczyć i opowiedzieć coś niecoś o Bronku.

Lwów rozpoczął się jak zwykle od zakupów na placu za teatrem. Coś niesamowitego co to za rynek i czego tam nie można dostać. Dosłownie wszystko ale zato jakie ceny panują. Koszula 20 zł, siatkowa letnia z krótkimi rękawkami - 10 zł i t.p.

Potem poszedłem do komitetu warszawskiego na ul. Kościuszki 8. Jak dawniej dużo ludzi zgromadzonych na schodach i przed domem, wszyscy dyskutują zawzięcie, radzą się wzajemnie, powtarzają zasłyszane plotki. Szansa na wyjazd do Warszawy jest teraz znikoma. Konsula niemieckiego niema, na granicy podobno tłumy nieprzebrane ludzi, Niemcy mało kogo przepuszczają. Oficjalnie granica jest zamknięta. Przez zieloną granicę można przejść stosunkowo łatwo, ale ja po ostatnich doświadczeniach nie chcę myśleć nawet o nowych kombinacjach, chwilowo mam tego dosyć. Marzę o czymś oficjalnym. Wolę czekać na otwarcie normalnego ruchu granicznego, tylko jak to długo potrwa, to czekanie.

Z pod komitetu /acha, spotkałem tam jednego z podchorążych sanitarnych z Brygady/, poszedłem na Politechnikę. Po długich szu-

kaniach znalazłem wreszcie dr. kpt. Czaplińskiego, z którym w zacisznym jego pokoju, ciągle ćmiąc papierosy, pogadaliśmy o możliwościach przejścia do Rumunji czy Węgier. Zdałem mu dokładną relację z naszej wyprawy i opowiedziałem wszystko co wiem i co mogłoby się przydać następnym partjom.

Później dopomógł mi on w odnalezieniu pani Buszczyńskiej. Jest ona bardzo przystojna, miła, sympatyczna i jak odrazu się zorientowałem trochę zakochana w Bronku. Opowiedziałem jej sporo rzeczy o nim, o ostatnich dniach z nim spędzonych na tej fatalnej wyprawie, gdzie go zostawiłem, a nawet dałem jej pół naszej fotki z pod pomnika Sobieskiego, oczywiście tę z Bronkiem. Jak ja ją dobrze rozumiem. Ciągle mi Baśka stawała przed oczami, co się z nią dzieje? Czy myśli często o mnie?

Okazało się, że na sali pani Wandy leży nasz szef Kołakowski. Natychmiast poszedłem do niego. Ledwo go, biedaka, poznałem, taki strasznie wychudzony i schorowany. Sama skóra i kości. Właściwie mnie nie poznał, dopiero jak mu powiedziałem, że jestem porucznik Żerańki ze Szwadronu, przypomniał mi siebie. Z Tarnogrodu, gdzie zostawiliśmy go 28 września przewieźli ich do Lwowa; tu był w trzech szpitalach, wreszcie wylądował niedawno na Technice. Czuje się bardzo źle, ma prawdopodobnie skręt jelit i oprócz tego wrzód na dwunastnicy. Mówi słabym głosem, wie że ma policzone dni. Pocięszam go jak umiem, biorę adres w Warszawie, wreszcie żegniam się. Oto co zostało z naszego Szwadronu.

Powrót do Brzuchowic z przygodami : autobus nie chce nas zabrać, awantura z Żydem, wreszcie idziemy z Hanką na Kleparów, gdzie szczęśliwie łapiemy jeszcze pociąg, mocno jak zwykle spóźniony.

Sobotę i niedzielę spędziłem w domu. Pisałem te notatki, dużo czytałem, rozmawiało się jak zawsze. Codziennie o 9-jej słuchamy Londynu, a potem obgadujemy sytuację.

W niedzielę 22.X. We Lwowie i tutaj były wybory do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy. Istna komedja. We wszystkich okręgach wystawiono tylko jednego kandydata, który oczywiście siłą rzeczy przeszedł automatycznie. I to miały być pięcioprzymiotnikowe wybory. I to ma być wolność, swoboda. Ludność zaczęła się już burzyć na to.

W poniedziałek 23-ego byłem znowu we Lwowie i widziałem się z panią Wandą u niej w domu. Spotkałem tam jej dobrego znajomego, który organizuje wyprawę na Węgry, więc znowu dałem mu sprawozdanie z pogranicza. Obiecał wyrobić mi jakąś legitymację, dałem mu więc mo-

ją fotografię. Będąc w mieście często siedzę w cukierni Urbanika, na Sykstuskiej. Zgadałem się jakoś z pewnym cieszyńniakiem, który zna sporo ludzi z Cieszyna. Ryśkę też oczywiście zna. Wogóle we Lwowie przebywa pełno ludzi z Cieszyna. Co tam Ryśka porabia? Napewno została w Cieszynie i sądzę, że pamięta jeszcze Wisłę. Co za przyjemne wakacje to były, i tak niedawno. A obecnie?

W środę wieczorem ktoś zadzwonił do furtki. Było to dwóch panów, Szymborski i jego towarzysz. Zнали przedtem już państwa Sokolnickich. Teraz idą piechotą do Warszawy. Opowiadają co tam słycać, bo mieli świeże i pewne wiadomości stamtąd od znajomego, który wyszedł z Warszawy 15-ego października. Był moment, że chciałem się z nimi zabrać, ale nie mam przecież żadnego dowodu osobistego, co jest niezbędne u Niemców. Szymborski ma tu wrócić za dwa tygodnie. Dałem im oczywiście adres na al. Niepodległości z prośbą aby zawiadomili moich co się ze mną dzieje. Jeśli wróci jak obiecuje, napewno wreszcie będzie miał wieści z domu. Oby były dobre.

Myślę o domu bardzo dużo, naogół jestem dobrej myśli, nie przypuszczam do siebie żadnych złych. Przenocowali na górze i o świcie 26.X. poszli na Rawę Ruską.

Na twarzy pokazały mi się jakieś wyrzuty, strupki; trochę się boję co to może być, czy nie coś poważniejszego, bo wygląda bardzo brzydko. Zdecydowałem się wreszcie w sobotę 28-ego jechać do doktora. Zmartwił mnie on diagnozą bardzo, poprostu - grzybek, którym zaraził mnie przy goleniu tamten fryzjer. Teraz mam masę kłopotu, muszę ciągle robić kompresy z okropnego żółtego płynu. Haneczka opiekuje się tym i zawsze mi pomaga.

Tegoż dnia, będąc we Lwowie, znalazłem w książce telefonicznej adres Kaszczuków i od razu tam zaszedłem. Był w domu pan Kaszczuk, Tadek i Zosia. Przywitali mnie bardzo serdecznie; nie wdzieliśmy się chyba z 15 lat więc ugadaliśmy się o dawnych czasach, i o obecnych oczywiście. Ciągnęli mnie do Zimnej Wody, gdzie stale mieszkają, ale wykręciłem się.

Widziałem się też z p. Wandą Buszczyńską, która ciągle ma nadzieję na rychły powrót Bronka. Nie chcę ją rozczarować, ale nie wydaje mi się to możliwe. Gdzieś pewno go już wywieźli.

W komitecie warszawskim nic nowego, zawsze tam zachodzę. Już, już miały być transporty, ale w ostatniej chwili odwołano je. Co to będzie, jeżeli to ma jeszcze dłużej potrwać?

Niedziela i poniedziałek: chodzę ciągle obandażowany i krew mnie zalewa na ten grzybek. Takie świństwo teraz mi potrzebne. Dużo czy-

tam, prawie codziennie jedną książkę, naogół wolę lekkie rzeczy, nie mam głowy na poważniejsze.

We wtorek 30-ego X. musiałem być znowu u doktora, wziął nowe 10 zł. Z moją twarzą trochę się poprawiło, teraz mam dla odmiany smarować maścią.

28-ego były imieniny Tatuśka, jakże napewno inne od normalnych, "przedwojennych". Dużo tego dnia myślałem o domu i wszystkich swoich, ileż bym dał by wiedzieć co się z nimi dzieje? Czy są zdrowi?

Wszystkich Świętych i Zaduszek nie obchodzą tu zupełnie, były to normalne dni pracy. Wszystkie święta kościelne zostały już przez Bolszewików oczywiście zniesione. Ciekawy jestem czy i w Boże Narodzenie każą pracować? To przecież musi wywołać bunty.

Stany Zjednoczone zmieniły ustawę o neutralności, może już teraz sprzedawać broń Anglii i Francji. Na froncie zachodnim absolutna, głucha cisza. Skandal, jak oni się ceckają, nawet nie bombardują Niemców, a jedynie "fotografują". Napewno fotografowaniem wojny nie wygra. Jak ona długo potrwa?

3-ego listopada siedziałem cały dzień w domu, nawet na krótki spacer nie wyszedłem, bo krępuje mnie stale zabandażowana twarz. Trochę się to jakby poprawia, ale tworzą się jeszcze małe ogniska i trzeba przykładać ten żółty płyn i masę.

Zacząłem czytać Sagę Rodu Forsythów, lubię takie "romans fleuve".

4.XI. musiałem być we Lwowie u doktora. Pojechaliśmy we trójkę autobusem. W mieście normalnie, ruch szalony, ogonki i ogonki wszędzie. Z aprowizacją jest coraz gorzej, wielu rzeczy już wcale dostać nie można, bo zapasy się wyczerpały a dostaw żadnych.

W cukierni Urbanika charakterystyczny objaw: ciastka już popakowane w paczki po 4 lub 8, za jednego lub dwa złote. Herbaty już niema, kawa jedynie, po złotówce szklanka. Ciastka małe i podłe po 25 gr. Na jednej z trafik widziałem napis "młodzieży się nie sprzedaje". I ten towar już wyszedł. Dużo też napisów w rodzaju: "Na składzie jedynie buty balowe, srebrne i złote, nr. 33". Mydła na lekarstwo nie można dostać, cukru ani śladu. Zarzucono natomiast miasto papierosami, Sporty i Machorkowe, u przekupniów nawet po monopolowych cenach.

Mój doktor stwierdził poprawę, ogolił te ranki, ale masę i wodę przykładać muszę jeszcze długo.

W warszawskim Komitecie Ruch; definitywnie utworzyli granicę dla uchodźców na dwa dni, 4-ego i 5-ego. Masę osób wybrało się natychmiast na Przemyśl i Rawę Ruską. W pociągu dantejskie sceny.

Ludzie wiszą na stopniach, dachy wagonów oblepione. Ile tam się podusi? Najgorzej z dziećmi i bagażami. Ja również zdecydowałbym się gdyby nie ta twarz. Czekam więc na następne otwarcie granicy. Liczę też na powrót Szymbarskiego, powinien być już wkrótce spowrotem, jeśli mu się wszystko udało. Pani Wanda Buszczyńska pojechała. Żadnego dowodu od niej jednak nie dostałem.

W domu, wieczorem, jak zwykle grupujemy się przy aparacie. "Tu mówi Londyn. Nadajemy dziennik wieczorny w języku polskim". A pod koniec: "Nadajemy 23-cią skrzynkę dla naszych radiosłuchaczy, pragnących tą drogą skomunikować się ze swymi rodzinami w Polsce". I nadają wiadomości, nazwiska, ci żyją, inni zginęli.

Sytuacja Rosji z Finlandją jest bardzo naprężona, zanoszą się tam na coś poważnego.

Na zachodzie bez zmian. Hitler zły na Stalina, że wtrąca się w jego sprawy.

Roosevelt podpisał ustawę i broń już płynie do Anglii.

Znowu otworzono granicę w Rawie Ruskiej. Jutro wracam do domu.

KONIEC NOTATEK.

## INDEKS NAZWISK.

B I 24/A12

77

Albrecht, płk., dca i p.szw.	14
Babicki, wchm., dca taborów	17
Baszucki, kpr.	15
Brodzikowski, mjr. dca łączności brygady	10, 16, 26
Buszczyńska Wanda	67, 68, 69, 71
Bronek, patrz kpt. Rybiński	
Ciok, jeniec niemiecki	8
Czapliński, kpt. dr.	46, 48
Danka, sanitariuszka	43, 46
Dąbrowski, kpr.	33
Dziędzielewicz, ksiądz	39
Freyman, mjr. dca sztabu brygady	2, 10, 16, 19
Głowacki, płk.	48
Gmurek, uł. ś.p.	28, 29
Gorczyński, por.	24
Gromadzki, wchm.	33
Gronkiewicz Henryk, ppor. rez.	3-31
Gryczko, milicjant ukraiński	54.
Hosowicz	47
Jagoldowa, pani	37
Jaklicz wchm.	17, 33
Janus, st. uł.	33, 35
Jasielski <sup>VELA</sup>	47
Jedigār, mjr, z-ca dcy sztabu	19, 23, 24
Ka_rcz, płk. dca Brygady Mazowieckiej	8, 16, 19, 23, 24
Kasprzak, kpr.	5, 17, 18, 19
Kazanecki, kpr.	5
Kołąkowski, wchm. szef szw.	29, 33, 34, 35, 38
Kostecki, uł.	31
Koprzywa, kpr.	33
Kowalski, gen.	14
Kozłowski, ksiądz	53
Kramer, por. dr.	46
Kryński	5
Kucharz, szofer	26, 27
Kapitan, patrz Rybiński	
Lachowski, kpr.	15, 33
Lityńska, pani	49, 50
Ławnik, uł.	33
Łoś, wł. maj.	32
Majewski, kpr.	13
Mazepa	38
Makowski, uł.	33, 34, 36
Manugiewicz, ksiądz	50
Mazur, por. ✓	3-32
Mączewski, płk.	31
Medzgieł, por. lotn.	26, 33, 36
Muszewski, kpr.	5, 10, 19
Neumann Fr. ppor.	4
Niewiarowski, rtm.	9
Olszewski, uł.	32

Parafiński, kpr.	21, 29, 32, 33, 36, 37, 41
Pawłowicz, pchr., s.p.	29
Pieniążek, pani	47, 48
Pietraszek, ordynans	14
Piotrowski, kpt.	20
Podbielski, kpr.	21
Prchala, Czech, syn generała	60, 62, 64, 65, 66
Remiszewski, por.	44
Rohn, pchr.	31, 33
✓ Rybiński Bronisław, kpt, dca szw. łączn.	całe notatki ✓
Saganowski, pchr. ✓	14, 24
Sitko, por. pionierów	20
Skonieczny, cywil	58, 59, 62
Skrzynecki, płk., dca 11 p.uł.	18
Sokolnicki Gabriel, prof. Pol. Lwowskiej	40-71
Sokołowski, cywil	61
Sosnkowski, gen.	41
Sucharski	45-50
Szwanke, uł.	32
Szymborski, cywil	69, 71
Śmigły, marsz.	50
Śniegocki, mjr.	11, 29, 30
Światłowski, mjr.	35
Świderski, plut.	5, 32
Świerżbiński, por.	18
Taube, pani	15
Ulas, pchr.	3, 9, 13, 17
Wołek	61
Wieleżyński, cywil	42
Zacharewicz Witold, pchr, aktor	2, 12, 14, 15, 20, 25, 29
Zdanowicz, mjr, dca pionierów	3, 4, 20, 30
Zieliński, ordynans	12
Żebrowski, uł.	17, 33

BI 24/A/2



Archiwum II Kwestionariusza B  
Saganowski - Sreniawa

~~100~~

B.I.24/A/3

O, III 79

plut pchor. rez Formawa Saganowski Henryk  
przydmat przed i po 1-tk sradon tem. klas. Bygłan.

*Mu. B.R. Tyciu*

ARCHIWUM SIL ZBRONNYCH

BI nr. 269.

4

Wzagi o działaniach wojsk lotniczych.

Najbardziej uderzającą rzeczą przez cały czas działań wojennych  
był fakt, że nasze oddziały musiały się stale wycofywać bez  
walki wobec stalego zagrożenia bombowego przez ułt. Inne to  
nie widać wylewającego zapot; samoloty bojowe naszego lotnictwa  
go jedynie wady była wrażliwość na ogień artylerii. Wskazywa-  
ła szczególnie widoczna była w kasablance, której punkt celowniczy  
a jednocześnie najlepszym celem dla ułt. były kamie przypora-  
ne w jednym miejscu. Sytuacja działań powodowała niejednoro-  
dnie oddziały w taborach a tym samym i braki amunicji w czasie  
długiego starcia z ułt. i tak samo rozpoznawczy oginow naszych  
oddziałów. W niektórych wypadkach po 7-8 ułt. albo nawet 10-12  
były tylko po 2 działające skony - czasem i tego nie było. Kwi-  
mówi broni ppanc, która w czasie operacji nie radziła, było ca-  
mala). Obydwoje w tych warunkach nie było większą utrudnieniem  
tymczasem między oddziałami, kiedy działał na starcie ułt.

Właściwie tego lotnictwa ułt. nie tylko przegrano w całej kampanii  
właściwie ale przegrano całkowicie całkowicie. Choć jak się okazało  
byłoby miała jedną z najlepszych w. jednostek zorganizowaną obrot  
p. lot. Uderzając jest braki amunicji oginow samolotów między ułt.  
ale i w innych u podjęciu i ofensywie (strachano niejednolitości do na-  
ruch samolotów a patrzono podlegnie na manewry).

Ta klasa samolotów w rozpoznawczych oddziałach faktycznie wyczerpana

B.I.24/A/B

na nastój psychiczny żołnierza. Nie dłużej. Gdy w decydujących momentach (jak u.p. pod Kutuskiem<sup>8-IX</sup>) bralorato amunicji dlatego, że została w kolumnie amunicyjna (poradzona przez pułkownika) i trzeba było w wycofaniu, żołnierze tracić czas w jakichś chwilach. Te rzeczy nieumundurowanych, którzy musieli walczyć nocami do czasu to innych punktów słomych! (Spotyka to nie takie grupy wędrujących tysięcy od Pultudka na eloch potem na Giedke i t.d.)

80

Jeszcze jedna restauracja ma - Gropowanie w czasie bitwy w odwodowych razem z taborem w jednym, nadto kiedy słonecznym niejsem. Z chwilą wjeżdża do wally nie tylko że trudniato to walcenie walcinicie nie ale i unisem. Chciało wycofanie nie w poradzku - labory pragnął w popłochu wzięto (przykład w bitwie pod Suchowoj du 24-IX)

12/11/83

Polisera pch

SR 17796

PERSONALIA RELACJONISTY

PL. Zand.  
Maz. BK.  
BI 24/A/4

Nazwisko i imie ..... Sobczyk Wladyslaw Wlodzimierz  
Stopien wojskowy ..... kapitan  
Stosunek do sluzby wojskowej ..... oficer sluzby stalej  
Rodzaj broni ..... zandarmeria  
Przydzial w IX.1939r. .... 1 Dyw. Zandarmerii Warszawa  
i zajmowane stanowisko ..... D-ca 3 Plutonu Zand. Warszawa  
Obecny przydzial ..... Etapowy Szwadron Zandarmerii  
Bazy 2 Korpusu - 7 Etap/ Plut.  
Data spisania relacji ..... 29. XI.1945.r.

Nie posiadam zasnych zapiskow dokumentow i aktow dotyczacych spisania przezemnie nniejszej relacji. Rowniez nie bralem udzialu w przygotowawczym opracowaniu sprawozdania z dzialan mego konnego plutonu zand. przy Mazowieckiej Brygadzie Kawalerii - plk. dypl. Karca Janusza, gdzie bylem szefem sluzby bezpieczynstwa.

W dniu 24. sierpnia 1939.r. otrzymałem od D-cy 1. Dyw. Zand. Warszawa rozkaz mobilizacyjny z zadaniem zmobilizowania w swoim t.j. 3 Plutonie Zand. 2-ch konnych plutonow zand., jednego mieszanego plut. zand., oraz Etapowego Plut. Zand. to jest stacjonowanego i dowodzonego w Warszawie.

Po zmobilizowaniu - objalem d-two plutonu konnego, który został przyznany do Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Pluton ten zameldował się marszem w dniu 27.VIII. 1939.r. w miejscowosci w ktorej nazwy nie pamietam 6 klm. na poludnie od m. Pultusk, tuż przy szosie w majatku. Dnia 28. i 29. VIII.1939.r. pluton osiagnal m. Przasnysz i m. p. 7 klm. na polnoc od m. Przasnysz na rzece Wegierka.

Z/mobilizowane plutony zand. - konny, objal d-two por. zand. sluzby stalej - Waszkiewicz, mieszan - chwilowo pozostal w Warszawie, jak rowniez poprzednio dowodzony plut. który po zmobilizowaniu został przemianowany na 3 Pluton Etapowy.

Skład plutonu konnego wynosil 1 plus 50 szeregowych, 46 koni, 2 wozy gosp. Uzbrojenie - "kb.k. wzor 28" .

Mobilizacje plutonow ukonczylem bez przeszkod. Stan moralny i fizyczny zmobilizowanych plutonow - bez zarzutu. Stan koni-dobry, lecz typ konia przewaznie ciezarowy. Konie te przewaznie wymienilem w majatkach ziemskich

W sztabie Mazowieckiej Brygady Kawalerii pelnilem wraz z plutonem zand. - sluzbe ochronna, egzekutywna i regulacji ruchu na skrzyzowaniach drog, wykonujac rozkazy i polecenia d-cy Brygady, jego zastepcy plk. Wieckowskiego i szefa sztabu mjr. dypl. Freihana oraz po wypadku, jego nastepcy mjr dypl. Jedygara.

W miare rozwijania sie wypadkow wojennych - od dnia 1. wrzesnia 1939.r. poruszalem sie w raz z d-twem Brygady po trasie - Przasnysz - Makow - Pultusk - Wyszki - Dobre - Garwolin. Tutaj pod m. Dobre Brygada rozdzielila sie na skutek dzialan wojennych na dwie grupy, która dowodzil plk. dypl. Landowski Antoni, kwatermistrz sztabu brygady. Grupa ta poczatkowo dolaczyla sie do samodzielnej grupy operacyjnej gen. Andersa, z która posuwal sie 1.pulk szwolezerow J.P. Po przybyciu w rejon Krasnobrodu dowodctwo objal z oddzialow dolaczajacych znow plk. dypl. Karca, który probowal przy wspoldziale gen. Olbrycha i plk. Duchy przebic sie na polnie za oddzialami kawalerii prowadzonymi przez gen. Andersa. Na skutek bezowocnej dzialalnosci - brygada Mazowiecka zostala rozwiązana i polecono przedzierac sie grupkami na poludnie w zgledzie do Wobrony Warszawy.

W m. Gorecko Koscielne po kapitulacji w dniu 27. IX.1939r. na skutek poprzednio odniesionej rany w noge, pod Krasnobrodem - dostalem sie do niewoli w m. Taniszew Hereszpol, na lesniczowce, z skad udalo mi sie w czasie transportu na m. Radom - zbiec do puszczy Koznickiej, skad dostalem sie do Warszawy, aby po 3 tygodniowym pobycie znow dostac sie do niewoli.

BI 24/A 15

REFERAT  
HISTORYCZNY

82

(Mi. BA)  
G. W. Schmidt  
Ppor. rez. kaw. Buchanowski Edward.

2 K K 3 / II.

21 pp. Komp. 2 K. ul.

Praca zimowa.



APW 16428

1) Po zmobilizowaniu w dn. 23. VIII. 1939 r. z przeliczaniem mob. do 3 pułku strzelców konnych w Wotkowysku, zostatem przydzielony do samodzielnego swadnomu cesciowo zmokom-zwanego, bzdazego pod d-ctwem majona st. starej. Swadnom ten zostat wydzielony ze skladu pułku i przydzielony do Brygady Maszwickiej z zadaniem „specjalnym pierwszej styczności z nieprzyjacielem”. Uklisze dotarcia do Brygady - w. Ciechanów.

2) Po przybyciu do w. Ciechanów transportem kolejowym w dn. 31. VIII. 1939 i wyładowaniu - swadnom udał się natychmiast do w. Juchasz, gdzie w dn. 1 IX. 1939 brał udział w walce z Niemcami - wchodząc do skład Brygady Maszwickiej i występując obok dywizji piechoty i batalionu szkolnego piechoty z Reubertowa. (Blizszych danych ukłisze nie moze, gdyz z uwagi na kłopoty wojskowe nie bylo do nam zmian). Pierwsze spotkanie z Niemcami wypadło niepowyistnie, gdyz

BI 24 / A 15

83  
16428

nastąpiło ono w noc i na skutek silnego ognia artylerii  
 u. pla, cała dywizja piechoty rozsypana się. Wycofały się  
 w porządku jedynie - batalion szkoły piechoty z Kumberowa,  
 2 pułki Brygady Ławieckiej i szwadron, do którego byłam  
 przydzielony, przycisnął na sesie polowej Gudzkiej i Ce-  
 chnowej. Cały szwadron wyjechał na minę podłożoną  
 przez wycofujące się polską piechotę - zginęło kilku żołnierzy  
 Rosyjki. W dalszych walkach szwadron mój występuje  
 samodzielnie. Bierze udział w walkach w obronie nad  
 Marwis, Bugiem, wycofuje się w stronę uliczka Ławieckiego,  
 następnie Katuszyna. Na skutek nalotu Niemców na  
 uliczkę od strony Katuszyna, szwadron wraz z dwoma swo-  
 jodrużynami kawalerii, baterią haubic, taborem Brygady i  
 rezervą szkoły Brygady zostaje odcięty, pozostając po  
 lewej stronie sesy. W noc sztab Brygady pod ostrym  
 był dźwięk szwadronów kawalerii przebiegał na drugą  
 stronę sesy w kierunku na w. Cegłów, pozostawiając tabór,  
 artylerię i swój szwadron. Ponieważ byłam najstarszym oficerem  
 w tych oddziałach, objąłem komendę i następną noc prze-  
 prowadziłem wypr. oddziały w kierunku na Cegłów. W Cegłowie

BI 24/A 15

16428

84

bratem udział w walce z Niemcami, rozbijając oddział około 250 Niemców, nabijszyemu niemieckiemu pociąg żywnościowy polski. Po wycofaniu się z m. Rajów w kierunku na m. Elkozy, porzucił tam w „obozie warszawym” (niemieckim) dwa transporty kolejowe kaloniany, jeden transport lekników, jeden pociąg pancerny - łącznie około 2500 ludzi) - wylądował i tabor, sam zaś ze swoim szwadronem wycofał się w kierunku na m. Warszawa od strony m. Góra - Kalwaria. Bratem udział w drobnych potyczkach z patrolami niemieckimi, ukrywał się swój oddział do dn. 21.9.939 - do chwili, gdy został w niewy.

3) Oddział woj - szwadron cysterski zmobilizowany (1 samochód osobowy, 1- ciężarowy, 2 motocykle, pozostałe rowery) - tabor rowny. Trzy plutony. Uzbrojenie - 2 r.kw. na pluton, k.b., w dalszych walkach - 2 km.

4) stracił broni - nowe, nie przedane, zakinięte się nieważ po każdym strale. Brak amunicji do broni.

5) Zapalenie w czasie walki - samowystawienie.

6) Brał udział z innymi oddziałami. Udział z sztabem ukrywanym przez dzień przy pomocy samochodu.

B I 24/A 15

85

16428

- 7) Ciężki brak kolumny notowego.  
8) Obrona p. lot i p. panc. - lina.

Uwagi ogólne: działanie swobodne samodzielne,  
polegające na opóźnieniu manewru u - pła. Brak łączności  
i współdziałania z innymi jednostkami.

et. p. f. n. 942.

Buckiowski ppor.

2 K K 3 / f.

Powyzszy prace zimowej przedkładać.

Buckiowski ppor.